

Dwie królowe, tom trzeci





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Dwie królowe

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

(BONA I ELŻBIETA)

TOM III

Skwarne go dnia lipcowego, w jednej z izb kamienicy Seweryna Bonera, przy otwartym oknie, stał pan podskarbi z młodym człowiekiem, po którego stroju poznać było można, iż zaledwie z kurzu się otrząsnął po długiej podróży.

Oba zdawali się oczekiwać na kogoś, bo Boner często się przez okno wychylając, spoglądał na ulicę, a młody jego towarzysz także niespokojnie śledził przejeżdżających nią ku Floryańskiej bramie.

Okno otwarte, dla wielkiego gorąca, niewiele powietrze ochładzało, a co gorzej, wpuszczało do komnat dym gorzki, który się z wielkiej kupy liści nagromadzonych u wrót podnosił. Kraków bowiem już zagrożony morem, ratował się od złego powietrza, z przepisu lekarzy paląc po placach i ulicach liście dębowe i piołunowe.

— Cóż się Marsupinowi stało — odezwał się młodszy — iż dotąd nie przybywa?

— Nic zapewne złego — rzekł Boner — ale poczciwy Włoch lata i pracuje niezmordowanie, mógł go posłaniec w domu nie zastać.

A, ma co zrobić! zaprawdę, bo wypowiedział wojnę otwartą Bonie, która też w środkach nie przebierając, odpiera dzielnie jego zamachy.

Gdyby nad tą sprawą, biorąc do serca los młodej królowej, krwawymi łzami płakać nie było potrzeba — dodał podskarbi, — zaiste śmiać by się można, widząc złość Bony i do jakiej wściekłości ją zuchwałstwo Marsupina doprowadziło; ale czekajmy, on to wam sam rozpowie.

— Sprawilże co Marsupin? — spytał młody podróżny.

— Dotąd nic, zaprawdę — rzekł Boner — ale się położenie wyjaśniło, i ucisk jawny nie jest dla nikogo tajemnicą. Zawsze to zysk jest oczewisty.

— Niewielki — szepnął młody — a przyznam się wam, że i ja tu, na poparcie Marsupina przysłany umyślnie, wiele więcej zyskać się nie spodziewam.

Niestety! panie mój! Smutna to rzecz, ale cała nadzieja nasza w tem, że król stary, że życie jego nie długie, zatem i panowanie Bony...

— Tak — odparł podskarbi smutnie — ale do dziś dnia, tak dobrze panuje Bona młodemu jak staremu, synowi jak ojcu. Marsupin widzi w tem czary! W istocie trudno pojąć jak młody pan, tak wielkiego umysłu, tak szlachetnego serca, w tak ciężką i sromotną popaść mógł niewolę.

— U matki? — podchwycił podróżny.

— My mówimy u matki i przypisujemy to czarom zbrodniczym — rzekł Boner — lecz ponoby właściwiej było rzec, popadł w niewolę namiętności! a czarem jest ta piękna maseczka kochanki!

Rozmawiając nie dosłyszeli jak na wschodach szybkie kroki zatętniały, i drzwi otwarły się z trzaskiem, nagle. Wszedł Marsupin.

Lecz jakże go pobyt ten w Krakowie, nieustanne utrapienia, praca, troski, obawy o życie zmieniły! Wychudł, poczerniał, wysechł, i podróżny, który go witać pośpieszył, dając mu rękę wykrzyknął.

— Nie chory jesteś, signor Giovanni?

— Chory! zabity! zamęczony, półżywy jestem! ledwie dyszę — zawołał Włoch. — Że mnie ta żmija w śmierć nie zagryzła, Panu Bogu dziękuję! Zwijam się jak ryba w ukrop rzucona! Dzięki Bogu, że wy mi na pomoc przybywacie!

— A! ja! — zawołał młody zakłopotany. — Wprawdzie jestem posłem króla i cesarza, ale cóż ja tu zdołam, gdy wy nie mogliście nic uczynić. Chyba powaga ojca mojego...

Przerwał nagle zadumany.

Był to syn Justa Decyusza krakowianina, służący przy królu Ferdynandzie.

Marsupin padł znużony na ławę.

— Do wszystkich utrapień — rzekł — dodajcie to, żeśmy w Krakowie morem zagrożeni, że w każdej chwili śmierć może pochwycić za gardło.

— Więc i dwór ztąd uchodzić powinien — rzekł Decyusz.

— Stanie się to zapewne — odparł Marsupin.

— Cóż natenczas z wami będzie? — spytał Boner Włocha.

— Ze mną? Ja pociągnę za dworem — szepnął, czoło z potu ocierając Marsupin i westchnął ciężko.

Decyusz się przysiadł do niego.

— Mówciez mi, jak stoicie z Boną?

— Ha! po włosku! na noże! — rozśmiał się Marsupin. — Robiłem com tylko mógł, aby ją przebłagać i w dobry sposób przyjść do jakiegoś porozumienia, napróżno.

Prosiłem o posłuchanie naprzód, a to jak najpokorniej. Jednego dnia, stałem u drzwi napróżno, ochmistrz dworu przyszedł mi powiedzieć, że była zatrudnioną i przyjąć mnie nie może.

Sądziła zapewne, że nie będę śmiał naprzykrzać się więcej, ale wróciłem nazajutrz.

Ochmistrz mi przyszedł oznajmić znowu, że królowa lekarstwo bierze, odszedłem po raz drugi z niczem.

Trzeciego dnia gdym nalegał i widzieli, że się mnie nie pozbędą,znaczono mi godzinę dziewiętnastą. Dobrze przed nią czekałem już w antykamerze.

Sekretarz wyszedł, królowa mnie zobaczyła przez okno i oznajmił, że godzina dziewiętnasta zajęta, abym się stawił zaraz po obiedzie.

Lękając się aby mnie to nie chybiło, pozostałem na zamku.

Sekretarz dotrzymywał mi bardzo grzecznie towarzystwa, usiłując wybadać z czem przychodziłem, i co mam mówić królowej. Zbyłem go żartobliwie.

Skończył się obiad, widziałem jak stara odprawiła młodego króla, jak kazano ustąpić wszystkiemu dworowi.

Dwie tylko starsze jejmoście ze dworu Bony pozostały przy niej. Ona z Elżbietą ukażały się na galeryi i stara dała mi znak abym szedł za niemi.

Gdyśmy na pokoje królowej przyszedli, młoda pani usunęła się, zapewne z rozkazu Bony w głąb, zostałem tak jak sam na sam ze starą.

Z największą pokorą, pomimo że twarz jej gniew i pogardę wyrażała, przykląknę przed nią.

— Mów! czego chcesz odemnie? - poczęła głosem, w którym złość wrzała.

— Wiadomo W. K. Mości, iż przychodzę w sprawie młodej królowej, z polecenia rodziców!

— Cóż się to dzieje tej młodej królowej, że takiej opieki potrzebuje — poczęła z ironią. — Widzisz ją przecie, zdrowa, wesola, krzywda się jej żadna nie dzieje!

— Królowa młoda — rzekłem — nadto jest bogobojnie, skromnie i miłościwie wychowaną, aby się uskarżała na to co cierpi; znosi ona, ale cały świat wie, że życie młodych małżonków nie takie jest jakiem być powinno.

Bona jaszczurczem okiem rzuciła na mnie.

— Tak jest — dodałem — młody król wcale nie żyje z żoną, unika jej, ani we dnie ją odwiedza, ani się nią zajmuje.

— A cóż to do mnie należy? — odparła Bona - ma swoją wolę.

— Wiadomo przecież — dodałem — że jest synem posłusznym. Dla czegoż W. K. Mość, która masz nad nim władzę, nie nakazesz mu, aby nie zaniedbywał żony. Jeżeli od dawnych miłostek odrazu się uwolnić nie może, niechby przez to nie cierpiała żona. Taka wzgarda dla córki pana mego, dla synowicy cesarskiej jest dla obu obrażającą. Cesarz nie zniesie zniewagi takiej.

Rzecz jest publiczności wiadoma, opowiadają o niej w Niemczech, Czechach, po całej Polsce, a tu w Krakowie piosenki o tem składają.

Przybyłem w tej sprawie; zamiast załatwienia jej, W. K. Mość jawnie starała się mnie ztąd wygnać. Gdybym nie miał wytrwałości w służbie pana, musiałbym dawno precz iść.

Gdym to mówił, twarz jej się mieniła, bladła, purpurową się stawała, gniew nią taki owładnął, że się utrzymać nie mogła.

Jakimi wyrazami wpadła na mnie, powtórzyć nie mogę, bobym wiary nie zyskał.

Wprost lając mnie poczęła, trzęsąc się i pięści nastawiając.

— Zamknę ja ci usta, zuchwalcze... pokażę ci co to jest przeciwko mnie się porywać.

Pan Bóg łaskaw, iż z zupełną zimną krwią wytrzymałszy tę napaść, odpowiedziałem jej z największem uszanowaniem; ale przyznam się, złośliwie nader.

Dałem jej uczuć, że wszystko mi jest wiadomem, że wyliczyć mogę ile razy król młody odwiedzał żonę i że od niej po nocach chronił się do panien fraucymeru, za wiedzą jej.

— Jesteś podłym, nikczemnym szpiegiem! — krzyknęła.

— Tak — odparłem — niestety! Pan mój szpiegów potrzebował, bo nie tak W. K. Mość obchodzisz się z córką jego, jak na królową matkę przystało.

Wszczęła się tedy walka między nami na słowa, w której ja tę miałem wyższość, żem krew zimną zachowywał ciągle, gdy ona ją coraz bardziej traciła, unosząc się i zamiast argumentów obsypując mnie obelżywami wyrazami.

W ciągu rozmowy byłem zmuszony nietylko własne moje przekonanie wygłosić, ale się podeprzeć tem com słyszał z ust ks. biskupa Samuela i oto tu przytomnego Bonera.

Podskarbi słysząc to uśmiechnął się i skłonił.

— Wie ona zdawna co trzymam o niej — rzekł zimno.

Marsupin ciągnął dalej opowiadanie.

— Przyszło do tego, że się Bona ze złości rozplakała.

— Byłam i jestem królową — zaczęła wołać — chcecie mnie tu sługą uczynić i niewolnicą.

Na to jednym słowem odpowiedziałem.

— Nie, tylko matką!

Na wyrzuty najrozmaitsze, sprawę mając dobrą, znalazłem zawsze odpowiedź słuszną, gotową, której odeprzeć nie mogła.

W ostatku mnie przyparła posagiem, że z wielkich obietnic, grosza jednego dotąd niewidziano. I na to rzekłem, że przecie termin nie przeszedł, a w nim należytość spłacona będzie.

Wiedziałem o tem od ks. Samuela, że królowa, gdy nie może nic ze starym królem, ucieka się do łez i gniewu... toż samo było ze mną. Znowu się jej łzy rzuciły, a złość ją dusiła, lkała i łajała.

Potem odwiódłszy mnie dalej, aby nas nie usłyszano, wpadła na mnie.

— Ty, sługo nikczemny — krzyknęła — jak ty, robactwo plugawe, śmiesz mnie, królowej, mówić takie rzeczy, czynić takie wyrzuty?

— N. Pani — rzekłem — to com mówił, niczem jest jeszcze. Mam zlecenie pana mojego powiedzieć daleko więcej, i to takich rzeczy, o których W. K. Mość sądzisz, że jednemu Panu Bogu są wiadome, a te ja będę obowiązany cesarzowi przedłożyć, wraz z tem com tu widział, słyszał i wyrozumiał.

Usłyszawszy to, widziałem jak pobladła, drzeć zaczęła i wielką siłą zdawała się uspokajać pozornie. Głos zniżyła razem i złagodniała, zmieniła przedmiot, tak że osłupiałem.

Spojrzała mi w oczy dziko.

— Spodziewam się — rzekła — że wy cesarzowi polecicie córkę moją Izabellę, żądam tego po was. Zaświadczcie i o mnie, że nie jestem złą matką, że to są potwarze ludzi podłych, którzy chcą nas poróżnić.

Oslupiałem w początku, nie pojmując nagłego zwrotu.

— Dosyć, dosyć — rzekła — niech się to wszystko skończy, niech o tem więcej mowy nie będzie, niech nastanie zgoda. Milcz, proszę.

Sądząc, że na tę obietnicę rachować mogę — mówił dalej Marsupin — zapewniłem ją, że co do mnie, obowiązkiem czuję pokój i miłość, o ile sil moich, popierać.

Tak się owo sławne moje posłuchanie u królowej skończyło, a raczej walna bitwa, w której jak sobie pochlebiałem, odniosłem zwycięstwo. Lecz któż zna tę przewrotną i chytrą niewiastę?

Nazajutrz po tej porażce dowiedziałem się od biskupa Samuela, że szła z płaczem do starego króla skarżyć się na mnie, iż bez należytego poszanowania, grubiańskie śmiałem jej czynić wyrzuty, na co Zygmunt miał odpowiedzieć połajaniem a groźbą, że ona sama temu winna, i że postępowaniem swem, uchowaj Boże śmierci na niego, narobi sobie nieubłaganych nieprzyjaciół i zgotuje los ciężki.

Tegoż samego dnia, pomiarkowawszy się snadź, poszła do młodej królowej, udając wielką dla niej serdeczność. Rozmawiała z nią długo, i Hölzelinowna zaraz mi o tem z największą wdzięcznością doniosła.

— A no! — przerwał młody Decyusz — toć lepiej poszły sprawy niż mówicie i pochłubić się tem możecie.

— Posłuchajcie do końca! — westchnął Marsupin. — Pokój ten i nadzieje pojednania nie trwały długo. Wprawdzie na rozejmie zyskała młoda pani nasza, która sil nowych

nabrała. Musieliśmy na nią patrzeć z uwielbieniem, z podziwem nad mocą ducha, nad mężstwem jakie okazywała.

Ze strony Bony, chwilowym strachem wywołane pomiarkowanie, udawana czułość, nie potrwały długo. W sercu gadziny jad się zbierał. Nie śmiała występować jawnie, ale w drobnych rzeczach, gdzie tylko młodej pani dokuczyć mogła, nieomieszkała.

Jednego ranka przychodzi do mnie poczciwy Dudycz... (spojrzał Marsupin na Bonera, i uśmiechnęli się oba) i powiada, że kilka dni temu, nasza pani młoda posłała do szafarza starej królowej prosząc o kawałek sera parmezanu. Szafarz go dał natychmiast, ale Włoszki, które młodej królowej nie lubią, bo im kochanka odebrać może, natychmiast o tem doniosły Bonie, mówiąc, że młoda pani sobie pozwala rozkazywać, nie pytając matki.

Rozgniewana królowa natychmiast wydała szafarzowi rozkaz, aby się nie ważył nic dawać młodej królowej.

Śmiech mnie wziął z tego i przyszedłszy tu do pana Bonera, powiedziałem mu o tem.

— I, rozumie się — rzekł Boner — żem natychmiast kazał trzydzieści funtów parmezanu posłać młodej królowej, prosząc, aby się do mnie z rozkazami udawała, a ja dostarczę czego tylko potrzebować będzie.

— Ser już był u królowej — ciągnął dalej Marsupin. — Marszałek się o tem dowiedział, zaczęto mówić o nim, a jam też głośno się nie wahał odzywać, że królowa Bona nie zbyt uprzejmie i teraz się obchodzi z synową, opowiadając na dowód historyjkę o serze.

Szpiegowie Bony, dworzanie młodego króla, cała gromada zauszników, okrutną zaraz tragedję zrobili z tego sera. Bona ją wzięła do serca.

Przysła do mnie sam pan marszałek Opaliński, domagając się abym wyznał, kto mi o tym serze mówił.

Obróciłem to w żart, niechcąc biednego Dudycza gubić, który truchlał, bo by się na nim mszczono.

— To nie są żarty — odparł mi marszałek Opaliński — królowa domaga się koniecznie imienia tego, który ją o ser oskarżał.

— Imienia tego ani na mękach nie powiem — odpowiedziałem stanowczo — nie przystało mi nikogo zdradzać. Moim obowiązkiem tu wszystko słyszeć, wszystko widzieć, wszystkiego dochodzić, to służba moja, ale nikogo oskarżać i mianować nie mogę.

Nazajutrz przybiega komornik starej królowej, wzywając mnie do niej; byłem prawie pewien, że o ser chodzi. Jakoż się nieco myliłem.

Biegnę, grzecznie mi chwilkę czekać każą. Patrzą, ciągną jak na wielkie sądy, panowie senatorowie, marszałek Opaliński, dalej ks. Samuel Maciejowski, który śmiech ma na ustach, za nim Gamrat... dworzanie do sali wnoszą podnóżki, kobierce, opony, gotują siedzenia, stoły... trybunał się układa.

Wpuszczono i mnie, obwinionego. Dworzanom i komornikom na ustęp iść kazano. Nadeszła Bona w całym majestacie, nakazując zająć miejsca Gamratowi, Maciejowskiemu, Zebrzydowskiemu, naostatek mnie i panu Bonerowi.

Można było sądzić, widząc ten poważny areopag, że się tu miała rozpocząć narada o najważniejszej sprawie państwo obchodzącej, o pokoju z Turcyą, o królestwo dla Izabelli na Węgrzech, o przymierze lub wojnę!

W istocie o serze zapomniałem, dziwując się tylko, że i mnie do tak ważnej narady wezwać raczono, gdy królowa poczęła:

— Śmiać się panowie będziecie, że tak dostojnych dygnitarzy, radę króla JMości, wezwać musiałam dla bardzo błahej sprawy, ale dla mnie ona niemałej wagi jest, tkwi w niej zaród wielkiego zła. Idzie tu o mnie, o potwarze, jakimi mnie obrzucają; chcę, abyście byli wszyscy świadkami niewinności mojej.

Wskazała na mnie palcem.

— Oto ten, ten, co tu przysłany został dla zgody i pokoju, właśnie i swary między nami krzewi. Rzecz idzie o mizerny sera kawałek. Muszę wiedzieć, kto mnie przed Marsupinem oskarżył, kto mu mówił o tym serze. Proszę was, wymóźcie to na nim, aby zdracę mianował, ja muszę o nim wiedzieć. Nie zdołacie wy nic, udam się do królów obu, aby oni władzą swą zmusili go do zeznania, kto mu to doniósł?

Pierwszy tedy pośpieszył ze zwykłą swą żywością Gamrat, dowodząc: że potwarzom bezkarnym nie ma końca, że raz trzeba pomścić królowę i że Marsupin powinien imię winowajcy wyznać.

Zatem Opaliński, jakby na sejmie był, długą mowę zwrócił do mnie i nalegał usilnie.

Rozumie się, iż obłączony srodze nie zachwiałem się, bo o cześć moją chodziło; oparłem się całą siłą, biorąc winę na siebie, lecz na żaden sposób nie chcąc wydać człowieka, który mi zaufał. W końcu dodałem trochę szydersko, iż zaprawdę szkoda było takich dostojnych osób dla takiej fraszki.

Królowa wpadła w niezmierny gniew i krzyknęła do mnie.

— Co ty mi będziesz prawa przepisywać? pleciesz od rzeczy! Mów coś powinien, a nie powiesz kto ci to podszeptał, oskarżę cię, żeś sam zmyślił.

— N. Pani — odparłem — *quod dixi, dixi*; więcej odemnie się nikt nie dowie.

Królowa wstała z krzykiem i gniewem, wybiegła do przyległej komnaty pana Bonera za sobą wołając — i zgromadzenie się rozeszło.

— Poleciała mi o tem donieść królowi — dodał śmiejąc się Boner.

— Myślicie że na tem koniec? nie jeszcze. Opaliński poszedł do królowej Elżbiety, domagając się od niej, aby ona mi nakazała wydać tego człowieka *sernego*.

Ale i na żądanie młodej królowej, która mi je objawiła łagodnie, odparłem, że jestem sługą króla JMci Rzymskiego nie czym innym, i tylko jego rozkazów słucham.

Oto macie próbkę tego co się tu dzieje, i co ja tu cierpię.

Marsupin zamilkł głowę zwiesiwszy. Młody Decyusz stał zadumany.

— Nie widzę — rzekł po chwili — co ja bym tu mógł pomódz i na co się przydać potrafię, gdy signor Giovanni, który zna lepiej terażniejsze położenie niż ja, zdawna już bawiący na dworze Ferdynanda, ledwie się umie obronić napaściom i wyjednać dla królowej ulgę małą.

— Tyle możecie — odrzekł Marsupin, głowę podnosząc — iż się rozpatrzywszy w położeniu, zdacie z niego sprawę, aby środków szukano ratowania biednej królowej, której moje zabiegi mało co pomogły.

Król młody jak nie żył z nią, tak nie żyje; poszedłszy za mąż odrazu wdową została.

— A teraz — dodał Boner — nowe się święcą rzeczy. Mór w Krakowie, choć jeszcze nie groźny, ale się z każdym dniem wzmacza. Zaprzeczyc temu nie można. Z przedmieścia wejdzie rychło na miasto, a ztąd na zamek. Królestwo gdzieś bezpieczniejszego schronienia szukać muszą. Bodaj to nie było nowym pozorem do rozłączenia młodego małżeństwa, pod pokrywką troskliwości o nie. Już słyszę Bona młodą królowę chce przy sobie zatrzymać, a Augusta albo na Litwę, lub na Mazowsze odprawić.

— Wyjadą więc z Krakowa? — zapytał Marsupin.

— Rzecz to jeszcze niepostanowiona — odparł Boner — ale wkrótce się rozstrzygnąć musi.

— Młody król! młody król — przerwał Marsupin — żeby się zaś dał tak powodować matce, jakby jeszcze dzieckiem był, woli nie miał... niepojęta rzecz! Mówcie co chcecie! ona i jej astrologowie, czarnoksiężnicy, doktorowie poją go i rozum mu odejmują, a kto wie jakich zażywają środków.

Trzebaż jeszcze na domiar wszystkiego, aby mór przyszedł, który nas może porozpędzić, dwór wygnąć.

Włoch zamilkł, ręce we włosy swe gęste utopiwszy, jakby je sobie chciał powyrywać.

— Ja tu nie pomogę nic — dodał zamyślony Decyusz — odniosę tylko królowi com widział i słyszał.

— Nie, nie dosyć na tem — przerwał Marsupin — musicie prosić o posłuchanie u starego pana i powiedzieć mu z czem przybyliście, poprzyjcie mnie. Królowa Bona obwinia, że na swoją rękę czynię bez rozkazu co mi do głowy przyjdzie. Poświadczycie, iż mam polecenia i że internuncyuszem tu jestem.

Boner poruszył ramionami.

— Jak gdyby ona posłów szanowała! — rzekł. — Jednym strachem pomsty cesarza nad Izabellą i jej księstwami można ją pokonać, musicie w to bić.

— Wyróbcież mi posłuchanie u Zygmunta — odparł Decyusz zwracając się do Bonera.

— I u młodego musicie być, i u młodej królowej — dodał Marsupin — ale ani pan Boner, ani nawet ks. biskup Samuel nie potrafią nic, jeżeli stara żmija przeszkadzać zechce.

Stali tak wszyscy ze smutnymi twarzami, gdy Boner chód posłyszał, a że się tu nikogo ani spodziewał, ani życzył sobie, poszedł ku drzewom. Ukazał się w nich z twarzą pomieszaną, trwożliwie Dudycz, jak zwykle fantastycznie i śmiesznie ustrojony, co przy jego twarzy postarzałej i brzydkiej, odbijało dziwnie i oczy Decyusza ciekawe ściągnęło.

Marsupin, który tego *sernego* człowieka wielkim strachem nabawił, ale go cenił, bo mu służył dobrze, poznawszy z miny, iż troskę jakąś niósł z sobą, postąpił ku niemu.

Boner skinieniem głowy go witał.

— Z zamku idziesz? — spytali.

— Tak jest — zawołał głosem niespokojnym Dudycz. — Znowu podle zamku kilku ludzi zapowietrzonych zmarło. Strach wielki u nas. Ks. Samuel nalega, aby stary król jechał do Nowego miasta albo na Mazowsze, gdziekolwiek bądź, byle w miejsce bezpieczne. Rozumie się, że królowa Bona go samego nie puści.

— A August? — zapytał Marsupin.

Dudycz ruszył ramionami.

— Nie wiem — rzekł — ale zdaje się, że jego prędej jeszcze wyprawia.

Bona chwyciła się moru, aby małżeństwo rozdzielić.

Mowa o tem jest, aby król młody jechał sam na Litwę, a królestwo z młodą królową do Korczyna.

Wszyscy milczeli chwilę, Marsupin się oburzył pierwszy.

— Znowu coś nowego! — zawołał — królowa Elżbieta na to pozwolić nie powinna i oświadczyć, że z mężem pojedzie. Nie jest niewolnicą, jest małżonką... ma obowiązki.

Nikt się nie odzywał przez długą chwilę. Marsupin się odwrócił do Bonera.

— Gdyby podróż nie po myśli się składać miała — rzekł — pan Boner ma moc jej przeszkodzić.

— A to jak? — spytał podskarbi.

— Łacno — rzekł Marsupin. — Młodemu królowi na Litwę pieniądze będzie potrzeba, gdy ich mu nie dacie, nie poślą go.

— Albo pieniądze w mej woli? — odparł Boner — pod moim kluczem, prawda, ale nie ja rozporządzam. Zresztą, po co się to zdało. Królowa Bona ma więcej w Chęcinach, niż ja w królewskim skarbcu w Krakowie; uprze się, to da synowi pieniądze.

— Skąpa jest — odparł Marsupin.

— Ale nie tam, gdzie jej idzie o panowanie — rzekł Boner. — Nie pożałuje na nie.

Dudycz słuchając przewracał oczyma, widocznem było, że mu coś po głowie chodziło, z czem się odkryć wahał. Wziął Marsupina w stronę.

— Wiecie — rzekł — mnie się zdaje, że pora przyszła, gdy ja przy jednym ogniu dwie pieczenie upiekę, swoją i waszą.

— Jakie? — zapytał Marsupin, który w rozum i przebiegłość Dudycza nie wierzył.

— Jeżeli król młody wyjedzie a porzuci swą Włoszkę, pora będzie się swatać do niej i was od niej uwolnić.

Rozśmiał się Włoch.

— Słuchajno — rzeki — albo ci ją Bona da, a wtenczas nam po niej nic; albo, jeśli się to na co przydać nam może, nie dopuści.

Dudycz potrzęsnał głową.

— Zobaczmy — rzekł — ale ja wam tylko to z góry zapowiadam, że kto mi do Włoszki pomoże, temu ja służyć będę.

— Choćby Bonie? — spytał Marsupin.

— Choćby staremu szatanowi! — zawołał zapałony Dudycz.

Wieczór nadszedł, wniesiono światło, w ulicy nie ustawał ruch. Wyglądano oknami otwartymi, dwa czy trzy wozy z trumnami przesunęły się pod oknami.

— Mrą ludzie okrutnie — odezwał się Boner. — Nie idzie zatem, aby to już powietrze być miało, lecz śmiertelność z upałów duża. Ja jeszcze w mór nie wierzę.

— Ba! — przerwał Marsupin — widziałem kilku doktorów; starsi, co już patrzyli na powietrze, twierdzą, iż na trupach znaki jego widzieli: sine plamy i wrzody. Nie szerzy się ono jeszcze zbyt gwałtownie, lecz że przyszło, to pewna.

— Różnie twierdzą — rzekł Boner — lecz jeżeli istotnie zaraza się wzięła, nic pilniejszego nad to, by dwór ztąd wyprawić. Na królu naszym starym i życiu jego leży wiele.

Rozmowa o powietrzu rozpoczęła się nieśmiało, bo nikomu o niem mówić nie było miło; a i ci co wierzyli, iż mór się szerzył, woleliby byli o tem wątpić.

Lecz z każdą chwilą smutne wiadomości się potwierdzały.

Pomimo spóźnionej godziny, Boner postanowił na zamek jechać i konia, który zawsze pogotowiu stał, podać sobie kazał. Chciał i o przybyciu Decjusza oznajmić królowi i dowiedzieć się co myślano i zamierzano na zamku.

Gości więc pożegnawszy, bo młody Decyusz do ojca wracał, sam w bramie dosiadł spokojną szkapę i dwóm pachołkom rozkazawszy za sobą jechać, ruszał do zamku.

W ulicach pusto było już, ale w niektórych miejscach, tam gdziekolwiek przypadek śmierci się trafił, cisnęli się ludzie dowiadując.

Wprawnemu oku podskarbiego łatwo rozpoznać było stan miasta niezwykły, jakby w przededniu klęski. Wszędzie po ulicach, pod domostwami zamożniejszych, po placach dymiły palące się liście i zioła różne, a że powietrze było ciężkie, gorzkie dymy przepelniały je i oddychać było trudno. Tu i owdzie przesuwiał się za latarką ksiądz z wiatykiem, o którym dzwonek chłopca oznajmywał. Gdzieś tam z wrót buchała wrzawa niespokojna, a, jak się to pod najcięższe czasy dzieje, gdy trwoga ludziom głowy odejmuje, gospody, browary, piwnice pełne były ludzi, co się odurzyć chcieli i z trunku zaczerpnąć odwagi.

Na zamek z trudnością wpuszczano, ale Boner klucz miał od furty każdego czasu.

W izbie sypialnej króla postrzegł światło, równie jak w komnatach starej pani, około których na galeryach przemykały się kobiety i służba. Około króla starego już nikogo nie było z Rady, kapelan tylko, starych dworzan kilku i doktor Polak.

Zygmunt zabierał się do spoczynku.

Boner chcący się dowiedzieć coś, nikogo nie znalazł w pustych antykamerach nad drzemającego na ławce, na kiju swym spartego Stańczyka, który gdy nie błaznował, do ascety i filozofa podobniejszym był niż do trefnisia.

Podskarbi zbliżył się do niego.

— Czołem! — rzekł.

— He? — odparł stary. — Jeżeli wy mnie czołem, a czemuż ja wam się pokłonię?

Rozśmiał się Boner.

— Co słyhać u was? — spytał.

— Zawsze jedno — począł trefniś — od lat wielu nic innego nie slysę, jeno narzekanie.

— Dziwicie się temu — rzekł Boner.

— Dziwię się — zawołał Stańczyk — bo za głupca mam, kto gdy go słuhać nie chcą, jedno klekce zawsze i próżno gębę studzi.

Boner popatrzał na zastygłego jakby, ze spuszczoną głową siedzącego starca.

— Człowiekowi lżej gdy się wystęka, sercu spokojniej gdy się wyplacze — rzekł zciha.

A po chwilce dodał.

— Dwór, slysę, od moru chce z Krakowa precz. Prawdali to? cóż wy naówczas myślicie sobą?

— Ja? — rzekł trefniś — muszę iść za dworem — bo jeśli kiedy, to czasu utrapienia błazen potrzebny, aby choć odrobinę dobrej myśli wlać do tej goryczy.

— Slyszeście co o podróży? — dodał Boner.

— Nie wiem nic — rzekł Stańczyk — a jam zawsze do wszelkiej gotów, choćby z tego świata na lepszy. Skrzyń i sepetów nie mam, czapkę i kij zabrawszy, wszystko moje niosę w jednym ręku. Reszta w głowie.

Ze Stańczyka nigdy się tak nic dopytać nie było można. Dał więc podskarbi pokój, i postawszy chwilę, rzekł tylko:

— Jeżeli wam moru nie strach, a podróż dla was ciężka, wiecie że u mnie wam gospoda otwarta zawsze!

Stańczyk podniósł bladą swą twarz pomarszczoną i uśmiechnął się.

— Chcielibyście u waszego skarbcza takich stróżów mieć jak ja, którzy na złoto nie lasi? he? ale Stańczyk wie, że pilnując skarbów najłatwiej dostać po grzbiecie! Bóg zapłać.

Nazajutrz jak świt na korytarzach zamkowych roiło się dworzanami i posłańcami. Stary król dodnia posłał po swoich panów Rady a najpierwej do podkanclerzego, królowa wyprawiła komornika po Gamrata, młody król siedział już u niej, a Opaliński tej nocy spać się wcale nie kładł.

Z miasta ten to ów prawdziwe i fałszywe przynosił wieści o ludziach nagle zmarłych. W istocie mór zdawał się nagle szerzyć i ci co go w wątpliwości podawali z początku, przeczyć już nie mogli, że na mieście umierano. Ale jedni spodziewali się, że po upałach burza nadchodząca oczyści powietrze, drudzy że zaraza sama przez się za łaską Bożą ustanie.

Po kościołach wystawiano relikwie i odprawiano modły uroczyste. Doktorowie wszyscy byli na nogach, a po aptekach gotowano napoje i kadzidła przez nich zalecane.

Królowa Bona, ze wszystkich członków rodziny królewskiej, największym była ogarnięta strachem.

W jej komnatach wszędzie paliły się trociczki wonne, balsamy różne i powietrze przejęte było wyziewami silnemi środków, które doktorowie przynosili i jedne nad drugie zalecali.

Nie zmniejszało to niepokoju jej o siebie, o męża i syna.

Lecz nawet w chwili tej grozy nie zapominała Włoszka o tem co na sercu miała, o swej nienawiści dla młodej królowej, o obawie aby ona ze swą łagodnością, cierpliwością, wdziękiem serca syna jej nie wydarła.

Morowe powietrze dawało zrzętność wysłania syna, pod pozorem bezpieczeństwa jego, na Litwę.

Dniem wprzód mówiła o tem Zygmunтови, który długo ani Litwy ani Mazowsza puścić mu nie chciał, namawiając aby Augusta dał do Wilna, bo go tam Litwini z upragnieniem oczekiwali.

Stary pan zgadzał się na wysłanie syna, lecz chciał aby, jak przystało, żona z nim jechała.

Oparła się temu Bona.

— We dwojgu tam pojechawszy, dworu, ludzi, pieniędzy we dwójnasób potrzebować będą, na to skarb nie starczy. Niech jedzie sam.

Nie było zgody, przerwała się rozmowa bez żadnego skutku.

Bona miała tysiące argumentów na to, ażeby syna osobno odprawić, a Elżbietę mieli starzy królestwo zabrać z sobą.

Zrana, nim Bona z nowemi naleganiami przyszła, król o tem mówił z Maciejowskim. Biskup głosował naturalnie za tem, ażeby małżeństwa nie rozdzielać.

Bona wcześniej niż zwykle wcisnęła się do małżonka, który czuł się więcej cierpiącym niż zwykle.

Pozostawiono ich samych z sobą.

Długo trwała sprzeczka, nalegania, spór, których do sąsiednich komnat pojedyncze tylko głosy i wyrazy dolatywały.

Naprzemianny to głos starego króla, to piskliwe krzyki Włoszki górowały.

Dworzanie, którzy w antykanclerze stali, z doświadczenia wnioskowali zawczasu.

— Królowa długo siedzi, postawi na swoim. Znak to pewny. Chceli król się jej oprzeć, rychło pozbyć musi. Im dłużej trwa, tem pewniej wygra.

Stało się tak w istocie.

Bona wyszła z rozplomienionemi policzkami, z zapłakanemi oczyma, ale z uśmiechem zwycięstwa na ustach. Zygmunt zmęczony w końcu zgodził się na wszystko; ktoby o tem nie wiedział, domyśliłby się z twarzy Włoszki.

Wprędce potem rozeszła się wieść (była to sobota), iż młody król na Litwę jedzie sam... i to nie później jak w poniedziałek.

Hözelinowna, która z panią swą i bardzo szczupłym jej fraucymerem, zawsze wśród zamku i dworu odosobnione wiodła życie, czując się nieprzyjaciółmi otoczoną, nie rychłoby się może dowiedziała o tem, gdyby wiadomość dla pani jej złą i smutną nie była.

Ze złem zawsze ktoś pośpieszy.

W korytarzu przebiegająca Włoszka schyliła się jej do ucha.

— Postanowiono — rzekła szybko — młody król na Litwę jedzie sam. Wasza pani z nami kędyś w świat z Krakowa na lepsze powietrze.

Hözelinowna nie uwierzyłaby była temu, lecz przechodzący Opaliński, którego spytała, potwierdził ten posłuch.

Ścisnęło się serce starej piastunce, gdy z tem weszła do swej pani. Bolało ją nowym ciosem zranic biedną a dziwnie cierpliwą męczennicę.

Przez cały ten czas niemal trzech miesięcy, które się długimi jak lata wydawały, mężnie walczyła Elżbieta z tem co ją tu spotykało. Wszyscy co, jak Marsupin, stawali w jej obronie, choć chwilowo, pozornie czasem wyjednali jakąś folgę — staraniami swemi drażnili Bonę, nienawiść jej powiększali, pragnienie zemsty rozbudzali.

Położenie Elżbiety wcale się nie polepszyło, lecz moc jej duszy urosła, męztwa przybyło młodziuchnej pani. Wiedziała że nie jest przez rodziców opuszczoną, osamotnienie swe przypisywała tylko Bonie, najmniej obwiniała męża, i była pewną, że wszystko się skończy szczęśliwie, tryumfem, pojednaniem i słodkim pożyciem z tym, którego kochała.

Hözelinowna utrzymywała ją w tych przekonaniach, które stan obecny znośniejszym czyniły.

Pomimo codziennych ukąszeń tej matki męża, którą Marsupin żmiją nazywał, Elżbieta nie płakała, nie skarżyła się obliczem, udawała szczęśliwą i często nawet, jak po historii sera parmezanu, śmiała się po cichu, gdy prześladowanie się nie powiodło.

Kätchen dziękowała Bogu, jak za osobliwą łaskę jego, że ta słaba istota z taką niesłychaną mocą ducha i wytrwałością opierała się prześladowaniu.

W istocie na twarzyczce królowej, która w początkach znacznie była pobladła i nosiła wiadome ślady cierpienia, odkwitał znowu rumieniec świeży. Patrzyła śmiało — jedna tylko Bona, na którą patrzeć nie mogła, wrażała w nią trwogę, której zwyciężyć nie umiała.

Nawet naówczas gdy Włoszka się starała być dla niej uprzejmą, gdy przemawiała słodko (przy świadkach), Elżbieta nie czuła się osmieloną.

W głosie tym zawsze brzmiała nienawiść, warczała jakaś groźba.

Wiele czasu spędzając sam na sam z Hözelinowną i kilku pannami dworu, królowa ożywiała się, czytać sobie kazała, modliła się, zajmowała robótkami.

Przynoszono jej plotki, których słuchała, zbytniej do nich nie przywiązując wagi.

Raz w dni kilka czasami przychodził do niej mąż, który z obawy Bony, śledzącej każdy krok jego, nigdy nie bawił długo, zaledwie słów kilka obojętnych zamieniwszy, uciekał.

W nim ten strach matki był tak widoczny, iż Elżbieta mu nawet za złe wziąć nie mogła zimnego obejścia się z sobą.

— Któż wie — mówiła sama sobie, powtarzając to co jej Hözelinowna szeptała — gdyby okazał najmniejszą czułość, Bona mogłaby mnie kazać otruć.

Obawa trucizny była powszechną, mówili o niej wszyscy i królowa Elżbieta rzeczy pochodzących od Bony tknąć nie śmiała. Rękawiczki, tkanina, klejnoty mogły być zatrute tak, że jedno dotknięcie do nich zabiłoby.

Potrawy i napoje ze stołu Bony próbowano, albo je nieużytkowane precz wyrzucano.

Ostrożności te czyniły życie nieznośnem.

Starając się pani swej cierpień oszczędzić, Hözelinowna sama, dzień i noc zalewała się łzami, które ocierała tylko gdy Elżbiecie chciała pokazać twarz jasną.

Wiele rzeczy tała przed nią, ale Marsupin wiedział najmniejszy szczegół, a choć pilno śledzono, kto ztąd donosił Włochowi o każdym kroku młodej królowej, dotąd zdrójcy wykryć nie zdołano.

Dudycz był nadzwyczaj ostrożny, a przed królową starą kłaniał się tem niżej, im się czuł winniejszym. Wszystkie jego czynności jeden cel miały: dostać Włoszkę, którą wybrał sobie.

Hözelinowna wszedłszy ze złą wiadomością do swej pani, potrzebowała chwili, aby twarz ułożyć.

Elżbieta szyła w krośnach, a zobaczywszy ją w progu, uśmiechnęła się.

— Nie znalazłbym mojej Kätchen — rzekła — gdybym nie odgadła, że nie z próznemi rękami przychodzi!

— Gdybyż te dłonie co dobrego wam przynieść mogły! — westchnęła Hözelinowna.

— Alem ja i do złego przywykła — odparła zimno królowa, badając piastunkę oczyma.

— Złe też przynoszę — odezwała się Kätchen. — Król nasz młody jedzie, a jedzie sam pono na Litwę. My także jedziemy, od moru uciekając, ale razem ze starą królową, która nas ze swych szpon nie chce wypuścić, nie wiem dokąd.

— A! — powstając od krosien odezwała się Elżbieta. — Mnie się zdaje, że to tylko początek podróży tak smutny. W Bogu nadzieja, że gdy król pan mój osiedzi się w Wilnie, zatęskni za mną i przyjedzie po mnie... albo, albo ja się zbiorę na męztwo i pogonię za nim.

— A! a! — wykrzyknęła Kätchen — gdybyż synowica cesarza, przed którego potęgą drży świat, zebrała się na to postanowienie, na to męztwo.

Elżbieta zamyśliła się.

— Kätchen moja — zawołała — miałabym je przeciwko wszystkim... jedna jest w świecie istota, która mnie strachem śmierci przejmuje. Jej głos dreszczem mnie przechodzi, jej chód odzywa się w sercu mojem, jakby każdy krok stawiała na niem, jej dotknięcie ziębi mnie jak ostrza miecza, jej wzrok jak oko bazyliuszka zabija. Mam odwagę gdy jej nie widzę, gdy się zbliży siły mnie opuszczają, nie śmiem podnieść oczów, głos mi zasycha w gardle, życie ustaje.

Hölzelinowna milczała, nie chciała się przyznać do tego, że i na niej Bona niemal takie same czyniła wrażenie.

— Król pan mój jedzie? — zapytała Elżbieta zadumana nieco. — Mówisz Kätchen, że to zła wiadomość? Ja nie wiem, mnie się zdaje, że chwila wyzwolenia naszego się zbliża.

Spojrzała na piastunkę.

— Jedzie sam — dodała ciszej — nie bierze mnie, ale też i przyjaciółek swych ztąd zabierać z sobą nie może.

— Znajdzie inne gdy zechce — szepnęła Kätchen.

— A! nie sądził tak źle o nim — przerwała Elżbieta. — To są pozostałości z dawnych czasów, on teraz będzie innym. Ze starych więzów rozkuć się trudno.

— Dałby to Bóg.

Królowa pomyślała chwilę, uściskała piastunkę i usiadła do krosien spokojnie.

W tej samej chwili Opaliński przychodził Zygmunta Augusta wzywać do matki.

Bona w bok ująwszy się ręką jedną czekała na syna z obliczem tryumfującym. Usta się jej uśmiechały.

Chciano ją oderwać od syna! ona wyjazd ten miała uczynić nowym węzłem łączącym go z nią, a rozłączającym z żoną!

Zaledwie ze swą twarzą, zawsze jakieś znużenie ale razem powagę wyrażającą, August ukazał się na progu, gdy matka odezwała się szydersko.

— Najjaśniejszy Pan, z woli ojca jedziesz do Wilna! Jedziesz sam, bo żony na podróż długą, niewygodną teraz narażać nie można.

Uśmiech dziwny, złośliwy towarzyszył tym wyrazom.

— Tak jest — dodała Bona — jedziesz sam do Wilna! Wiem — poczęła żywiej — żeś W. K. Mość życzył sobie, będąc już królem koronowanym i W. księżęciem, zacząć rządzić i okazać, że potrafisz miecz i berło podźwignąć. A więc wiesz. A więc wiesz.

Skłoniła się przed synem.

— Co się tyczy królowej — rzekła — bądźcie spokojni! Pojedzie z nami, na niczem jej zbywać nie będzie. Wprawdzie i nasz i jej dwór zmniejszyć musimy, ale pozostanie zawsze próżniaków dosyć!

Skrzywiła się królowa, patrząc na syna, w którego twarzy chciała dopatrzeć się wrażenia, jakie ta niespodziana wiadomość na nim uczyniła.

Oblicze Zygmunta Augusta, nawet w jego młodości, wczesnie złudzeń pozbawionej, niełatwo w sobie czytać dawało. Zachowywał zawsze powagę i chłodną krew stanowi swemu właściwą. Ale matka odgadywała łatwo najlżejszy odcień twarzy synowskiej. Patrzyła na nią pilno, spodziewając się poruszenia radości, a dostrzegła, a raczej domyśliła się pewnego pomieszania i zafrasowania raczej.

Zdziwiło ją to.

— Jakże? — podchwyciła zawsze w tym tonie. — W. K. Mość nie cieszysz się tem? Król ojciec długo się temu opierał, masz nareście czego sobie życzyłeś sam i drudzy dla was życzyli.

August stał jakby zadumany.

— Jestem królowi ojcu wdzięczny za zaufanie — rzekł — jadę na Litwę z ochotą, ale się lękam, czy na pierwszym kroku nie obudzę w Litwinach więcej politowania niż radości. Wy, miłościwa matko moja, lepiej to wiecie niż ktokolwiek bądź, jak szczupłe byłem i jestem wyposażony.

Nie mam stosownego ani dworu, ani ludzi, ani zapasów i skarbu, który panującemu jest potrzebny. Mamże począć panowanie od tego, że będę rękę wyciągał do moich poddanych, aby oni mi dali zasilek?

Bona zdawała się przygotowaną na to pytanie, uśmiech nie schodził z jej ust, a wyraz tryumfu malował się coraz dobitniej na promieniejącej twarzy.

— Zapominasz, że masz kochającą matkę, zawsze dla ciebie do ofiar gotową, która dumną jest synem i upokorzyć go nie dozwoli. Byłam odrazu pewną, że Boner, zwłaszcza gdy się dowie że Elżbieta z wami nie jedzie, wyposażyć was na tę drogę nie zechce, jak należy. Ale od czegoż stara włoska księżniczka, która z sobą posąg przyniosła w złocie i dla dzieci przyzbierać coś umiała!

August stał jakby zawstydzony, ze spuszczonei oczyma. Matka mu pieszczotliwie rękę położyła na ramieniu.

— Jedź — rzekła. — Brancaccio ma już rozkaz odemnie. Daję ci na tę podróż piętnaście tysięcy czerwonych złotych, a że i występować musisz, a w Wilnie pewnie jednej misy srebrnej nie znajdziesz i nie masz ich wiele do zabrania ztąd, a żona też nie ma ci co dać, kazałam półsetka puharów srebrnych i mis wydać ze skarbcza, odłożyłam łańcuchów, klejnotów com mogła.

August pocałował ją pokornie w rękę, dziękował; ale ani ten dar, ani wiadomość nie czyniły go tak szczęśliwym jak się Bona może spodziewała.

Zrozumiała ona opacznie chłód jaki się objawiał w nim; na myśl jej przyszło, że rozstanie się z Dżemną mogło być powodem smutku. Dwuznacznie, zawsze z tym samym ironicznym uśmiechem, dodała.

— Co się tyczy towarzystwa, jakie z sobą zabierzesz w podróż, ja także o tem pomyślę... bądź spokojny.

Rozumiem dobrze, iż ci się z wielą osobami, do których nawykłeś, rozstawać będzie boleśnie.

Postaram się o to, aby ci w Wilnie nie zbywało na niczem i na nikim. Ale, musimy być ostrożni. Ludzie mnie oczerniają, za moją miłość dla dziecka, wymyślają potwarze...

Znajdziemy środki, aby ci, co z tobą nie pojedą, za tobą wyruszyć mogli. Rozumiesz mnie...

Trzeba tylko nadać temu pozór jakiś, ażeby w tem znowu przeciwko mnie i tobie przyjaciele Elżbiety nie znaleźli oręża. A! kochany Marsupin! ma dobre oczy... oczy kota i kocie pazury... niegodziwy! zuchwalec!

Samo wspomnienie o Marsupinie już ją wprawiało w gniew. Czoło się zachmurzyło, usta zatrzęsły się. Przeszła się dla uspokojenia parę razy po komnacie. August stał, jakby jeszcze z nowem tem rozporządzeniem potrzebował się oswoić — zadumany.

Bona zbliżyła się z pieszczotami do niego.

— Zrobiłam co tylko mogłam dla ciebie — rzekła. — Kosztowało mnie to niemało u ojca twego, bo stary im więcej sił traci, tem jest upartszy a ks. Samuel więcej nad nim ma władzy. To coby się mnie należało, po tylu latach pożycia, wydzierają mi z rąk zausznicy. Łzami się nieraz zalewać muszę... serce, zaufanie, wiarę tracę, gdy ich mi najwięcej potrzeba.

Bądźże dobrej myśli, proszę; widzisz, że wszystko się składa, jeżeli nie dla mnie to dla ciebie najlepiej? Wiem, że i teraz będą krzyczeli na mnie: że ja was z Elżbietą rozdzielam... ale obojgu jechać było niepodobieństwem.

August milczący zawsze, nic nie odpowiedział na to. Dziękował tylko matce, ale twarz miał ciągle posępną.

— Wyjazd twój na poniedziałek naznaczony — dodała Bona. — Mówiłam o tem Opalińskiemu; wydaj stosowne rozkazy, a jeżeli ci co jeszcze zabraknie, mów mnie, udaj

się do mnie, nie do Bonera, nie do nich... tam... ja dostarczę ci co potrzeba. Brancaccio jest na twe rozkazy.

Augustowi nie pozostawało nic nad nowe podziękia matce, która nie widząc w nim radości, szepnęła na ucho.

— Niepodobna Dżemmy natychmiast wysłać, ale wkrótce będzie w Wilnie i to tak, że nikt nie potrafi nam tem oczu wykałać. Bądź spokojny, obmyślę, zrobię wszystko czego potrzeba do twojego szczęścia. Pamiętaj, że masz kochającą cię matkę, że nikt lepiej ci nie życzy i lepiej poradzić nie potrafi. Radź się mnie... mam stare doświadczenie, znam ludzi, wiem jak z nimi postępować potrzeba, czem ich ująć... Dla ciebie żyję.

I namiętnie pochwywszy go za szyję zaczęła ścisnąć.

Serce Augusta poruszyło się też temi dowodami macierzyńskiej miłości, całował ją po rękach i dziękował.

Bona zaczęła szeptać poufnie, przygotowując go do postępowania wedle jej wskazówek, chcąc zapobiedz, aby oddalenie się syna nie oderwało go od niej i nie wyzwoliło z pod tego wpływu, jaki dotąd na najmniejsze jego czynności wywierała.

Długo dosyć trwała ta narada poufna z matką, po której Bona z uśmiechem wskazała synowi drogę zwykłą przez swoje pokoje do mieszkania Dżemmy.

— Idź ją pociesz — rzekła — musi być biedna w rozpacz, bo już we dworze o twoim wyjeździe wiedzą. *Poverina!*

Młody król w istocie pożegnawszy matkę, wprost udał się do Dżemmy.

Teraz, jak w początku rozmowy z Boną, piękne jego lice nosiło na sobie to niezmazane piętno, które przez życie całe skazanym był dźwigać, nieprzewyciężonej tęsknicy. Nigdy nikt nie widział Zygmunta Augusta prawdziwie wesołym i swobodnym, jak gdyby losów swoich miał przecucie i świadomość; ostatni z Jagiellonów napróżno usiłował życie swe czemś umaić, wszystko mu się z rąk wyslizgało — nie miał szczęścia.

Szedł pogrążony w myślach, gdy trzpiotowata Bianka, nim się zbliżył do drzwi mieszkania Dżemmy, zabiegła mu drogę, z zuchwałym swym na koralowych wargach uśmiechem.

Jak stara, dobrze z nim spoufaloną dworka, podbiegła wprost do króla.

— A! — zawołała — śpiesz W. K. Mość pocieszyć tę biedną Dżemmę, bo się we lzy rozplynie, choć dobrze wie, że zapomnianą nie będzie... i że dziś czy jutro pojedzie przeciw za wami.

— A! a! — dodała — Dżemmo! Dżemmo, ale wam, miłościwy królu, potrzebaby raczej takiej lotrzyicy wesołej jak ja, jak stara Bianka, aby fałdy waszego czoła wygładzała. Weźcie-bo mnie z sobą.

August się uśmiechnął do niej, a żwawe dziewczę, poprzedzając go, otworzyło mu drzwi sypialni Dżemmy. W głębi w drugiej komnacie widać ją było z rozpuszczonymi włosami, w rozpiętej sukni przechadzającą się po izbie. Posłyszawszy szelest, rzuciła się ku wchodzącemu królowi i wykrzyk płaczliwy z ust się jej wyrwał.

Zimno jakoś, chociaż z politowaniem August się zbliżył do niej; oko baczniejsze mogło dostrzedz pewnej zmiany w obejściu się z nią Augusta i nie uszła ona pewnie wejrzenia Bianki, a może sama Dżemmo przeczuwała już pewne ostygnięcie.

W istocie trzy te miesiące, nieznacznie, powoli oddziały na serce króla.

Miłość jego dla Włoszki od początku była więcej podsycaną jej namiętnością ku Augustowi, niż uczuciem jego własnego serca. Było w niej więcej zmysłowego pociągu, uroku wielkiej piękności, młodości, niż uczucia głębokiego.

Samą gwałtownością swą Dżemmo stawała się ciężarem, budziła obawę, nużyła króla, który potrzebował spokoju.

Kochał ją jeszcze — lecz już nie tak jak w pierwszych chwilach, gdy się ten węzeł zadzierzgnął, gdy cały był tylko nią zajęty i nie widział nic, oprócz niej.

Przyczyniła się do tego ostygnięcia królowa Elżbieta. August zaczął od tego, że ją przyjął z uprzedzeniem, ze wstrętem, podbudzany przez matkę, poddawiany do okazywania obojętności.

Niezmierna cierpliwość i poddanie się swemu losowi młodej pani, zdumiały naprzód, potem wywołały ciekawość, naostatek współczucie.

Począł od tego młody król, iż się ulitował nad nią, iż bardzo nieznacznie, ostrożnie ostrzegł ją i podszeptował co czynić miała, aby nie drażnić Bony.

Łagodność królowej, jej posłuszeństwo, bo mu się ani narzucała, ani wymówek nie czyniła, pociągnęły go powoli ku niej.

Byłby może August okazał jawniej to współczucie żonie, ale wiedząc jak ją Bona nienawidziła, jak się jej obawiała, lękał się, aby najmniejsza oznaka przybliżenia się do Elżbiety nie wywołała zemsty i prześladowania.

W ciągu tych kilku miesięcy, ostygając dla Dżemmy, August nabierał poszanowania, współczucia, zajęcia serdecznego dla tej ofiary cichej, która z uśmiechem anielskim witała go, przyjmując wszystko wdzięcznie i nie uskarżając się nigdy.

Czy się tego królowa młoda domyślała, czy przeczuwała ten szczęśliwy zwrot, który jej Hölzelinowna przepowiadała? trudno było odgadnąć.

Jeżeli nadzieja wstąpiła w jej serce, nawet tej piastunce, dla której nie miała żadnych tajemnic, nie powiedziała nic, nie przyznała się do niej.

Obawiała się zawodu, drząc czekała czy się to sprawdzi, czego zdawała się blizką, a lękała utracić. Oczy dwojga małżonków spotykały się czasem trwożliwe i natychmiast odwracały. Dosyć było takiego pochwyczonego jednego wejrzenia, któreby w Bonie obudziło podejrzenie, iż małżeństwo się zbliżyło, porozumiało, a Elżbieta mogła zyskać łaskę w oczach męża, aby Bona do ostateczności doprowadzoną została.

Syn nawet nie łudził się, wiedział dobrze, iż była zdolną namiętności panowania poświęcić wszystko, chwycić się najokropniejszych środków. Ci co ją otaczali, gotowi też byli na jedno skinienie dopuścić się największej zbrodni.

W obawie tej o żonę, Zygmunt August, którego serce już ku niej ciągnęło, musiał się okazywać zupełnie zimnym i obojętnym.

Dosyć było, aby na jej twarzy zajaśniał promyczek radości, a Bona mogła się mścić, dorozumiewając co go wywołało.

Litością naprzód zyskała Elżbieta męża, potem łagodną cierpliwością swą i spokojem w męczeństwie.

Terazniejsza podróż na Litwę, chociaż go rozdzielała chwilowo z żoną, nie wydała mu się groźną. Zyskiwał na niej więcej niezawisłości, mógł potem odebrać żonę, musiał się o nią upomnieć. Sam król rzymski powinien był mu w tem dopomódz i młoda pani mogła rychlej być wyzwoloną, a ręka Bony, chociaż sięgała daleko, nie tak już silnie dawała się czuć na Litwie.

Wszystko to snuło się po głowie młodemu panu, gdy szedł zamyślony do Dżemmy.

Włoszka na widok jego wybuchnęła płaczem, rzucając mu się na szyję.

— Chcą nas rozdzielić — poczęła wołać — ja się zabiję, ja nie przeżyję rozłączenia.

Król począł ją uspokajać pieścizotami.

— Nie trwóż się — rzekł — idę od królowej matki, przyrzekła mi znaleźć sposób, abyś mogła połączyć się ze mną wkrótce.

— Na cóż tu szukać sposobów — wybuchnęła Włoszka. — Cóż nas to obchodzi, że mnie palcami wytykać będą jako królewską kochankę? Ja o to nie dbam wcale, ja się tem piesznię. Siadę na wóz, kolebek będzie dosyć i pojedą.

— Tak — rzekł August zimno — tak, a matce i mnie to wyrzucać będą. Przyjaciele i szpiegi króla rzymskiego patrzą, wiedzą wszystko, królowę i tak czernią, zrzucą winę na nią, mścić się będą na królowej Izabelli.

Dżemma z niecierpliwością zaczęła włosy rozrzucać na głowie i suknię szarpać na sobie.

— Nie kochasz mnie już — zawołała — chcesz śmierci mojej — mówiła płacząc. — Ja tego nie przeżyję.

— Musisz dla mnie i dla siebie przeboleć tę chwilę — odparł August. — Uspokój się. Ja i królowa matka postaramy się o to, ażeby rozłąka nie trwała długo.

Dżemma stanęła nagle przed królem z brwiami ściągniętymi.

— Więc cóż? jak? Mam tu pozostać? królestwo oboje jadą także z młodą panią, nie wiem dokąd. Dwór będzie zmniejszony, przy królowej tylko kilka nas zostanie. Cóż ze mną?

— Zdaje mi się, że nic jeszcze nie postanowiono — odezwał się August — ale mam przyrzeczenie królowej najuroczystsze, iż wkrótce pojedziesz za mną, a matka moja umie spełnić to, co zamierza.

Włoszka zadumała się rozpaczliwie.

— A! — zawołała — królowie! wy, królowie! jesteście niewolnikami tylko... Boicie się oczów ludzkich, nie śmiecie słuchać serca, kochać i nienawidzić musicie jak wam każą wasze polityczne interesa... Wolałabym pachółka kochać niż króla, bo ten, gdybym serce jego miała, mógłby mi swoją miłość okazać, a wy...

Zakryła sobie oczy.

Milczał August nie odpowiadając.

Dżemma po cichu płakać zaczęła.

— Tak więc skończyło się owo krótkie marzenie szczęścia — zawołała rzucając się na podłogę u nóg Augusta — nielitościwa ręka losu budzi do cierpienia... Szczęście nie wróci...

— Dżemmo! — przerwał król czule.

— Nie pocieszajcie mnie — odparła. — Wy nie wiecie nic jak ja, jesteśmy na łasce losu, a co on pocnie z nami, któż zgadnie? Serce moje czuje, iż wszystko skończone... żyć mi się nie chce... Co było nie wróci!

Płakała znowu.

— Dżemmo — szeptał August — nie wierzysz chyba we mnie ani w siebie. Prawdziwa miłość cierpliwą jest i więcej ufa własnej sile. Ja wierzę obietnicom matki, jadę i spodziewam się was wkrótce zobaczyć w Wilnie. Pozostawiam cię pod opieką najlepszą.

— Na co mi to wszystko — odparło dziewczę, spuszczając głowę smutnie. — Chcę umrzeć. Szczęście nie wróci... a! nie wróci!

W przededniu wyjazdu na Litwę, sama królowa Bona kazała przywołać syna zajętego wyborem w podróż.

Przybycie Decyusza młodego od króla Ferdynanda, który dla niej był szpiegiem niebezpiecznym, zmusiło do pewnych dla Elżbiety względów. Obawiała się, aby ją nie oskarżano, że małżeństwo rozrywała, a że wszystkim chciała sama rozporządzać, że najmniejszy krok syna musiał być przez nią obrachowany, zapytała wchodzącego:

— Kiedy i jak myślisz się z żoną pożegnać?

August myślał o tem wprawdzie, ale się obawiał narazić matce, i był pewnym że ona wcześniej ułoży jak się ma odbyć pożegnanie. Sądził nawet, iż zechce mu być przytomną.

Lękając się narazić żonę, zmilczał. Spojrzał pytająco na matkę.

— Nie wiem jeszcze — rzekł.

Bona podeszła ku niemu; obojętność ta udana podobała się jej.

— Później nie będzie czasu, idź dziś, nie baw długo, kilka grzecznych słów, to dosyć — rzekła. — Nie trzeba abyś jej więcej okazywał, niż jest w istocie... niech się nie ludzi. Narzucona nigdy nam miłą nie będzie.

Syn starał się szczególnie w tej chwili okazać posłusznym.

— Pójdę dzisiaj — rzekł chłodno.

Bona spytała o wozy, kolebki, konie, służę, ich liczbę, bo o każdej rzeczy zawiadomioną być chciała — rozporządziła kto i jak miał jechać. Szło kilka krytych szkarlatem kolebek, szły nieokryte wozy, konie powodne, dwór był niezbyt liczny, lecz po królewsku i wytwornie dobrany.

Bona w wyborze służby nalegała na to, aby wiernych sobie dodała synowi. Chciała codziennie mieć listy od niego.

— Do żony pisać nie potrzebujesz — dodała. — To co się znajdzie w listach moich dla niej, ja jej sama powiem. Zwierzać się jej nie możesz ze wszystkiego, bo przez nią nieprzyjaciele nasi dowiedzą się o tem, czego nie powinni być świadomi.

Ja potrzebuję mieć codziennie gońca, koniecznie.

August przyrzekł być posłusznym.

Wprost od matki poszedł do pokojów żony.

Tu on był, niestety, bardzo rzadkim gościem, chociaż wielce pożądanym.

Nawet przy Hölzelinownie, której wierności był pewnym, nie mógł okazać żonie najmniejszego współczucia. Radość, jakąby ono obudziło, mogła zdradzić.

Jak zawsze tak i tym razem August wszedł żywym krokiem, a gdy mu piastunka drzwi otworzyła do pokoju w którym siedziała Elżbieta, na widok jego żywo powstająca od krosien, zbliżył się ku stołowi, o który stanęła oparta.

Rumieniec oblał dziecinną twarzyczkę młodej królowej; król mógł dostrzedz, gdy go pozdrawiała, drżenie i wzruszenie. Podniosła ku niemu oczy.

— W. K. Mość wyjeżdża? — spytała cicho.

August obejrzał się niespokojnie, chciał mówić i obawa wyrazi mu na ustach wstrzymywała... milczał dość długo.

— Tak — odparł nareście z jakimś wahaniem, wzrokiem niespokojnym okazując, iż się lękał być zbyt otwartym — tak — powtórzył — muszę jechać na Litwę, sam.

Zniżył głos bardzo i prawie niedosłyszonym szepnął.

— Miejcie cierpliwość... Bóg da, wszystko skończy się szczęśliwie.

Elżbiety twarz rozpromieniała — oczki, w których krążyły łzy, błysnęły wyrazem wdzięcznym.

Więcej jeszcze niż mógł usty, król powiedział także wejrzeniem.

— Mam najlepszą nadzieję — dodał — proszę miejcie i wy ją, a ufność we mnie.

Podał nieśmiało rękę królowej, która ją pochwyciła, lecz wtem zdało się Augustowi, jakby u drzwi dosłyszał szelest jakiś i cofnął się natychmiast przelękły, dodając głośno po niemiecku.

— Bądźcie zdrowi.

Uklonił się i nieoglądając już na królowę, która szła za nim ku drzwiom, pośpieszył wyjść. W progu tylko wejrzenie, które Elżbieta zrozumiała, nakazało jej tajemnicę.

Wszystko to razem zaledwie kilka minut potrwało, a król właśnie chciał tego, aby rozpowiadano, iż pożegnanie było zimne i krótkie.

Hözelinowna oburzona tem wbiegła do pokoju królowej z załamanymi rękami i za- stała ją w progu spokojną, niemal wesołą.

Nie mogła zrozumieć już swej wychowanicy, Elżbieta przyznać się jej nawet nie śmiała. Między nią a mężem była teraz tajemnica, której ona zdradzić nie chciała, która ją wbijała w dumę i czyniła szczęśliwą.

Ciężko jej było zaprawdę kłamać wobec piastunki, lecz czuła potrzebę, obowiązek.

Rzuciła się jej na szyję, aby ukryć twarz, jak gdyby płakała, a Kätchen pocieszać ją zaczęła.

Serce biło żywo.

Ta radość, którą musiała osłaniać łzami, przejmowała całą jej istotę. Tak błogo się jej stało na sercu, tak jasną i piękną ujrzała przed sobą przyszłość, iż blask ten zaćmił jej umysł i po błyskawicy szczęścia otoczyły ją mroki.

Na rękach piastunki skostniała i zastygła... wyprężyły się ręce, podniosła głowa, otwarły usta. Kätchen przerażona poznała w tych symptomatach napad choroby, którą ukrywała tak starannie i która, szczęściem, tak długo w najprzykrzejszych godzinach oszczędzała biedną ofiarę.

Teraz przychodziła ona we śnie szczęścia, ale Hözelinowna nie wiedziała o niem i tłumaczyła ją sobie, jako skutek wielkiej, przenikającej bolesti.

Zwolna, nietykając prawie, zdołała ją na rękach przenieść na łóżko i złożywszy na niem, pośpieszyła drzwi zaryglować, aby żadne żywe oko królowej w tym stanie, na który czyhała Bona, zobaczyć nie mogło.

Hözelinowna jedna wiedziała z doświadczenia, iż ani budzić, ni trzeźwić jak w zwykłym omdleniu królowej nie było można — że potrzeba było spokojnie czekać, aż to odrętwienie straszne przejdzie samo i życie powróci.

Nazajutrz Elżbieta spokojnie przez okno przypatrywała się odjazdowi męża, którego kolebki, konie, dwór, służba, psy, musiały przeciągać w podworcu przed oknami starego króla. Chciał je widzieć i przekonać się, że syn ani nadto wspaniale, ani zbyt ubogo nie wystąpi przed Litwinami, niecierpliwie na niego oczekującami.

August czy za wyraźnie objawioną wolą matki, czy aby jej nie drażnić, nie przyszedł już w ostatniej chwili pożegnać żony. Bona tylko wyprowadziła go aż na galerię, z całym swoim dworem, ale oczy ciekawych napróżno w nim szukały Dzemmy.

Włoszka, niepohamowana w objawianiu swych uczuć, byłaby się zdradziła; nie dozwolono jej wyjść i Biankę posadzono na straży. Płacząc i łkając rzucała się po swej izdebce, odgrzając na wszystkich, a nawet na ukochanego, którego w dniach ostatnich znajdowała ostygłym i obojętniejszym dla siebie.

Serce jej przeczuwało, że miłość ta, na której ona trwanie liczyła, doszedłszy do najgorętszego rozplamienia, stygła i słabła.

Augustowi nie mogła zarzucić nic, nie zaniedbywał on jej, nie chybił w niczym, ale też same dowody miłości, które dawniej starczyły, teraz jej zdawały się skąpymi.

Królowa też matka, w początkach tak troskliwa i pieszcząca Dżemmę, teraz ją powoli zaniedbywała nieco. W chwili odjazdu zdawało się Włoszce, iż powinna była starać się ją pocieszyć i upewnić o tem, iż wkrótce ją wyprawi za synem do Wilna.

Tymczasem dzień cały upłynął, Dżemma rozplywała się we łzach naprzemiany i wybuchła gniewem, a oprócz Bianki, nikt nie przyszedł jej pocieszyć, nikt nawet dowiedzieć się do niej.

Na zamku wszyscy byli zajęci przygotowaniami do podróży. Mówiono o wyjeździe do Nowego miasta Korczyna, królowa wyznaczyła już była kobiety, które jej towarzyszyć miały — Dżemma nie wiedziała jeszcze jaki ją los spotka.

Sama się królowej przypominać nie chciała, miłość Augusta wbijała ją w dumę; sądziła się potrzebną i godną tego, aby Bona pierwsza krok uczyniła ku niej.

Tymczasem Bianka, która się nią najwięcej zajmowała, po kilkakroć wybiegając na zwiady, powracając i przynosząc różne wiadomości — o tem co postanowiono o Dżemie, albo się dowiedzieć nie mogła, lub jeśli wiedziała coś, powiedzieć jej nie chciała.

Opuszczenie to, zaniedbanie coraz mocniej, dolegliwiej dotykało biedną Dżemmę. Płakała, ale płacz jej przy temperamentie namiętym, przeradzał się w gniew i pragnienie zemsty, tak że Bianka zaledwie ją wstrzymać potrafiła od krzyków i wybuchów.

Drugiego dnia jeszcze nie nadszedł nikt, a Dżemma do królowej iść pytać, żalić się, prosić nie chciała. Zawsze się jeszcze nadto czuła potrzebną, aby się do błagania za sobą poniżyć miała.

— August mnie kocha, jestem mu dla życia konieczną, mówił mi to i poprzysięgał razy tyle... nie obejdą się bezemnie.

Królowa Bona w istocie myślała o tem, jak miała synowi wysłać kochankę, której była pewną, że ją zdradzić nie powinna, lecz daleko trudniejszym się to okazało w wykonaniu, niż sądziła.

Marsupin czuwał, młody Decyusz siedział w Krakowie, biskup Maciejowski był o wszystkim zawiadomiony i nie wahał się królowi staremu donosić o tem co czci królewskiej i powadze szkodliwym sądził. Nie można było wprost, jawnie Włoszki wysłać, mówiono o tem nadto, a Marsupin doniósłby nieochybnie ojcu królowej.

Cicha doradczyni Bony, mniszka Maryna, która przez jakąś niewytłómaczoną zawiść Dżemmy cierpieć nie mogła, pierwsza szepnęła jej, że ludzie mieli na kochankę zwrócone oczy, i zawczasu królowę obwiniali, iż ją za synem wyprawi.

Królowa się wahała, chociaż mocne miała postanowienie, przez Dżemmę zapobiedz, aby kto inny nie opanował syna.

Tak stały rzeczy, gdy Dudycz, który widział że ta chwila dla niego stanowczą być mogła, nadaremnie przez dni parę nastęrczając się oczom Bony, która na niego uwagi nie zwróciła, pobiegł do Zamechskiej.

— Królowo moja! — zawołał od progu — ratuj mnie! Włoszka została na koszu, król odjechał, nikt o niej nie myśli... przypomnijcie jej, królowej, komu chcecie, mnie, który się ofiaruję żenić.

Ochmistrzyńni zdumiona popatrzyła na niego.

— Daj ty mi pokój — odparła — ja żadnego się pośrednictwa nie podejmuję. Gdybyś się powiesić chciał a mnie o stryczek prosił, prędzejbym ci może go dała. Ja nad Włoszkami żadnej mocy nie mam, a z królową też niewiele poufałości. Idź sam, proś, to będzie najlepiej.

Napróżno ubłagać ją i ująć się starał Dudycz, tyle tylko wymódcz potrafił, że mu czas i miejsce wskazała, kiedy i gdzie Bonę będzie mógł znaleźć mniej zajętą i otoczoną.

Dudyczowi tak było pilno, tak się obawiał aby go kto nie uprzedził, iż o mało się na gniew Bony nie naraził. Schwycił ją przechodzącą ze skarbcza do komnat swych, rzucił się do nóg; naprzód lając go poczęła królowa, precz kazawszy. Ale ją Petrek przebłagał pokorą, pozwoliła mu iść z sobą, gotowa prośby wysłuchać.

Musiła się nawet domyślać o czem mówić będzie, gdyż nie okazała się zdziwioną gdy Dudycz oświadczył, że prosi o rękę Dżemmy.

Długie milczenie nastąpiło potem, Bona zacięła usta, popatrzyła na dziwaka tego, nie od powiedziała nic, kazała mu przyjść nazajutrz rano.

Dudycz nabrał otuchy.

Wieczorem, gdy Włoszka chodziła coraz więcej zrozpaczona po swojej komnatce, w której każdy sprzęt jej króla przypominał, cicho, powolnym krokiem wsunęła się Bona.

Dżemma nadto była swem położeniem przejęta i poruszona aby dostrzegła jak teraz inną tu przychodziła królowa matka, dawniej pieszczotliwie i serdecznie się z nią obchodząca.

W istocie zimna, zamyślona, obojętna, dumna, stanęła przed zbolaną Włoszką, która w pierwszej chwili nie wiedziała jak ma ją witać. Rzucić się do nóg? okazać rozpacz i zwątpienie? prosić o litość?

Oko starej pani badało pilno Dżemkę i wszystko około niej, nim się do niej odezwała. Chciała wyrozumieć, w jakim stanie ją znalazła i do tego zastosować rozmowę.

Dżemma popłakiwała, ale z za łez spoglądała płomiennymi oczyma na Bonę.

— Daj pokój tym łzom — odezwała się Bona — powoli zajmując miejsce w krześle — pomówmy rozumnie. Uspokójże się, słuchaj!

Włoszka usiłowała łkanie stłumić napróżno.

— Oddawna chciałam mówić z tobą — poczęła sucho i z wyrazem nieukontentowania królowa — ale ze łzami i lamentami rozmówić się trudno, a ja czasu nie mam słuchać próżnych słów. Cóż ty myślisz?

— Spodziewałam się, spodziewam, król mi przyrzekł, miłościwa pani, wy wiecie jak ja go kocham! ja muszę jechać za nim, do niego, gdy z nim jechać nie mogłam.

— Tak! — przerwała Bona — tak! gdyby to była rzecz tak łatwa do wykonania jak do powiedzenia! Ale to wszystko na mnie spada! wam z tem nic, jemu to nie szkodzi, ja pokutuję za niego... na mnie rzucą kamieniem.

Jutro, gdybyś wyruszyła po nocy nawet i nikt cię nie widział, jutro wszyscy na dworze i w mieście powiedzą, a raporta posła do Pragi i do Wiednia, że Bona cię wyprawiła dla syna, aby mu obmierzić żonę!

Dżemma sobie oczy zakryła.

Królowa oddychała ciężko, bo gniew na wspomnienie młodej królowej, współzawodniczki, ją ogarniał.

— Ja muszę coś poświęcić dla syna — dodała — ale i ty z siebie powinnaś jakąś uczynić ofiarę.

Włoszka odjęła od oczów ręce i facolet, którym je osuszała.

— A! miłościwa pani, jam na wszelkie ofiary gotowa! Cześć moją, młodość, wszystko oddałam.

Jak gdyby trudnem jej było wypowiedzieć o co chodziło, królowa się zatrzymała nieco, spuściła oczy i machinalnie palcami po poręczy krzesła przebieierać zaczęła.

Dżemma oczekiwała.

— Ja cię tak samą wysłać nie mogę — rzekła po bardzo długim przestanku. — Poszukaj sama w swojej główce, jakby się to ułożyć dało, abyś miała prawo opuścić dwór i nie narażając mnie wyjechać, gdzie ci się podoba.

Rozwiązanie tego zadania, które Bona rzuciła z uśmiechem ironicznym, nie było łatwem dla Włoszki, która usłyszawszy je stała zdumiona, zamyślona, nie pojmując co ono znaczyć miało.

— Jakto? więc ty rozumna i przebiegła sama na tę myśl wpaść nie możesz? — zapytała królowa — a jednak rzecz to bardzo prosta.

Słuchała Dżemma.

— Możesz być swobodną tylko wychodząc za męża! — dodała królowa.

Włoszka wydała okrzyk boleśny.

— Ja? za męża? — zawołała z odrazą — ja stać się jemu niewierną? ja!

— A! — odparła Bona obojętnie — jak gdyby nie mógł znaleźć się człowiek, który cię posłubi i nic za to od ciebie wymagać nie będzie, pozostawi cię wolną.

— Ale jabym przysięgać musiała.

— Przysięgi tej natychmiast dotrzymywać nikt cię nie zmusi. Mąż się zgodzi być powolnym — szepnęła Bona.

Włoszka, której się to ni w głowie ani w sercu pomieścić nie mogło, rzucać się zaczęła dziwnie i niezrozumiałymi wyrazami urywanymi protestować.

Bona powstała z siedzenia.

— Pomyśl o tem — rzekła — to sposób jedyny, ja innego nie widzę.

Dodam tylko, że takiego powolnego męża wynajdę może dla ciebie. Musisz się przygotować wszakże, iż powabnym nie będzie, ani młodym, ale za to posłusznym.

Nie tłumacząc się więcej Bona powstała, popatrzyła na osłupioną Dżemkę i wyszła.

Zostawszy samą biedna Włoszka, długo się z miejsca nie poruszała. Myśli chodziły jej po głowie poplątane, dziwne, niezrozumiałe; dreszcz ją przejmował na samo przypuszczenie małżeństwa jakiegoś, związku, któryby moc nad nią dawał nienawistnemu człowiekowi obcemu.

Jeszcze w myślach tak zatopioną stała, gdy w progu dały się słyszeć kroki nadbiegającej Bianki. Szła tak prędko, jakby była posłaną na pociechę biednej dziewczynie.

Dla tej poczciwej ale ze wszystkimi przewrotnościami dworu oswojonej dziewczyny, która się nigdy nie dziwiła niczemu, myśl królowej nie wydała się bynajmniej zdrożną, ani wstrętliwą, raczej zręczną i zamykającą usta wszystkim.

Bianka wiedziała o niej. Polecono jej przyjaciółkę z nią oswoić.

Wbiegła wesoło.

— Cóż ty się we łzach tak kąpiesz — zawołała — gdy właśnie wszystko się jak najlepiej składa!

— Co? jak?

— Wyjdiesz za męża, będziesz panią swej woli! pojedziesz za królem, usta zamkniesz ludziom!

Zbliżającą się ku sobie, Dżemka odepchnęła zlekka.

— To okropne! — zawołała.

— Mój Boże! cóż w tem tak straszego? — szczebiocząc i około Dżemmy biegając, poczęła Bianka. — Mąż ten przyszły na wszystko się zgodzi! Rachuje na łaski króla, da ci swobodę zupełną. Alboż to raz się tak ludzkim plotkom zapobiegało? to rzecz nie nowa!

— Bianco — krzyknęła odsłaniając twarz Dżemmy — dla mnie, dla mnie jest ona nową i niespodziewaną, nie przewidywałam tego nigdy. Nie dosyć, że jemu narzucono żonę, mnie tak samo chcą narzucić męża.

Bianka śmiać się zaczęła.

— Ale ty go znać nie będziesz, tylko chybaby mu jak słudze rozkazywać.

Włoszka znużona zwolna, pozornie się uspokajając zaczęła. Nogi pod nią drżały, rzuciła się na siedzenie we framudze okna.

Myślała ktooby to mógł być ten mąż, który jej miał dać nazwisko, swobodę i sprzedać się za łaskę królewską. Wzgardę miała ku temu człowiekowi nie znając go.

— Kogoż królowa stręczy? — przebaknęła ze wstrętem.

— Królowa nie stręczy, ale on się sam naprasza — odparła Bianka. — Przypomnij sobie te tajemnicze podarki.

Lice Dżemmy okryło się rumieńcem. Zupełnie inaczej wyobrażała sobie tego co ją tak po królewsku obdarował, i tego co teraz tak podle sięgał po jej rękę.

Nie umiała pogodzić z sobą tych dwóch, tak w jej pojęciu różnych ludzi.

Podniosła głowę. Bianka patrząc na nią uśmiechała się ciągle.

Na twarzyczce Włoszki miejsce oburzenia zajął podziw jakiś, zdumienie, ciekawość. Towarzyszcze zdawało się, że mogła począć odsłaniać tajemnicę.

— Mam ci powiedzieć kto on jest, ten zakochany w tobie, którego miłość idzie tak daleko, że się gotów twojemu szczęściu poświęcić?

Milczała Dżemka, ale milczenie to znaczyło: mów!

Zawahała się Bianka nieco.

— Człowiek jest — rzekła — bogaty bardzo, wcale niemłody, a niestety figurą i twarzą śmiech obudzający. Wielu mówi, że dobry ma być, nikt nie powiada, że złym być może. Czegoż można więcej wymagać od takiego słomianego męża?

Myśli Dżemmy, w miarę jak mówiła Bianka, musiały biegać i szukać we dworze kogoś coby wizerunkowi odpowiadał, ale go znaleźć nie mogły.

Poruszyła ramionami i jeden wyraz tylko z ust się jej wyrwał:

— Bogaty?

Bianka śmiała się.

— A! tak! powiadają, że jest bardzo zamożnym — odezwała się — a najlepszym dowodem tego są podarki, za które nawet spojrzania nie wymagał.

Włoszka jeszcze błędziła gdzieś myślami, po łysinach starych dworaków, gdy towarzyszą jej uderzając w ręce, zawołała.

— Piotr Dudycz! królewski dworzanin.

Nazwisko to, niemal zapomniane, nieznanie prawie, nierychło Włoszce na myśl pocieszoną postać przywiodło, do której się odnosiło.

Skrzywiła usta z odrazą, drgnęła cała ze wstrętu i nie odpowiedziała nic.

— Nie będę się starała dowodzić, że się do jego maskary przyzwyczaić można — wtrąciła Bianka — możesz bowiem niepatrzeć na niego. Królowa powiada, że się na wszelkie warunki zgodzi, byle w oczach ludzi za męża twojego uchodził.

Z drugiej strony, kochana Dżemmo, możesz być pewną, że inaczej jak czyjaś żoną, królowa ci nie pozwoli jechać za synem. Nadto już mówiono o tem, że ona się opiekowała tobą, na złość młodej królowej. Chce żebyś jechała, ale boi się aby na nią to nie spadło.

Nie masz wyboru... biedna!

A gdy Dżemmo ciągle jeszcze ani słowa nie odpowiadała, dodała prędko.

— Tak! nie masz wyboru, i wiesz co? Przyjmiesz go czy nie? zrobisz co ci się podoba, pozwól mu się widzieć z sobą, rozmów.

— To znaczy jak gdybym go już przyjęła — odparła Dżemmo — a warunki tylko chciała układać, a ja jego i małżeństwa nie chcę! nie chcę!

— Zostaniesz więc w Krakowie — odezwała się Bianka. — Szkoda mi cię bardzo. Wiem od naszej ochmistryni, że na rejestrze tych co królowej towarzyszyć mają, ty się nie znajdujesz. Zatem będziesz tu męczyć się na zamku, wśród powietrza, które już na mieście panuje, a jutro i tu, na Wawel ten ogień wtargnąć może.

Dżemmo załamała ręce i poczęła płakać pocichu. Bianka nawet, dawno ostygła i płocha, nie mogła na nią patrzeć bez litości i poczęła pieścizotami, słodkimi słowy starać się ją pocieszyć a ból ten łagodzić.

Lecz czemu mogła osłodzić gorzyc takiego położenia bez wyjścia innego nad jedno — upokarzające i sromotne.

Popłakały się obie i długim milczeniem zamknęła rozmowa.

Biance jednak zdawało się, że po głębszym rozmyśle, nieszczęśliwa ofiara zgodzić się była powinna na warunki, jakie jej podawano. Cała noc pozostała do rozmyślań.

Nazajutrz zaś potrzeba było stanowczo coś odpowiedzieć, bo królestwo wybierali się już w drogę i wyjechać mieli wkrótce. Jeden tylko arcybiskup Gamrat, dopóki on tu był, a on też wybierał się precz z Krakowa, wraz z tą którą naówczas arcybiskupową nazywano, mógł ślub bez żadnych wymaganych formalności dać kazać albo sam pobłogosławić na żądanie Bony.

Wszystko to pocichu wyszeptala Bianka na ucho Dżemmie, gdy ją opuszczała późno już w noc, namówiwszy aby szła spocząć.

Nazajutrz Dudycz, który stawił się do Bony, jeszcze pięknie ubrany niż zwykle, otrzymał pozwolenie widzenia się z Dżemmą.

— Idź sam swoją sprawę popierać — odezwała się Bona — ja przymuszać jej nie mogę. Wszystko zależy od tego, jak sobie poradzisz. Pamiętaj tylko, że dumną jest i że bądź co bądź, ona tobie, nie ty jej wyświadczasz łaskę.

Dudycz pokłoniwszy się do ziemi, wyszedł; ale zaledwie za progiem postrzegł, że mu samemu iść nie wypadało i nie było dogodnym.

Zamechska, którą niemal na kolanach prosił o pomoc, wręcz mu odmówiła. Bianka, czatująca na niego także z nim wchodzić nie chciała, ale dodała mu odwagi, doprowadziła do samych drzwi, wpuściła go i uciekła.

Dudycz wszedłszy drżący do znanej komnatki, w której oknie Włoszka zwykła była siadać, nie znalazł jej tu. Dopiero po chwili wyjrzała z sypialni, zmarszczyła się, pochwyciła zasłonę we drzwiach wiszącą, zawahała chwilę czy wnijdzie, i gdy ją Dudycz zobaczył a pokłonem pozdrowił, powoli, krokiem majestatycznym wsunęła się do izby. Szła tak nie mówiąc nic, opinając na sobie suknię, z brwiami ściągniętymi, gniewna ale panująca nad sobą.

Dudycz szukał po głowie od czego rozpocząć.

— Królowa JMość — począł jąkając się, cicho — królowa JMość uczyniła mi nadzieję, że zechcecie mnie wysłuchać!

— Wiem co mi powiedzieć macie — odparła sucho Dżemma, po krótkim namyśle. — Ważycie się na sprawę trudną a dla was... no i dla mnie sromotną. Mnie zresztą niewiele obchodzi co ludzie powiedzą, wiem co mi za to zapłaci, ale wam!

Dudycz się zmięszął

— Dawno już, dawno — odezwał się — serce moje wam oddałem. Na wszystkim gotów.

— Aby nic za to oprócz wzgardy nie otrzymać — przerwała mu Włoszka. — Nie rozumiem rachuby waszej. Rękę wam dać mogę być zmuszoną, ale więcej nic, nic... nawet litości.

Dudycz podniósł oczy ku niej. Nie pałała w nich namiętność — on sam przestraszonym się wydawał, ale bynajmniej rozkochanym.

Dżemma odstąpiła kilka kroków, poszła ku oknu nie patrząc na niego. W ciągu długiej nocy porachowała wszystko, gotową była wyjść za tego nikczemnego w swem przekonaniu człowieka, lecz chciała zawczasu odjąć mu wszelką nadzieję, aby małżeństwo to kiedykolwiek czem innym być mogło nad udanie i kłamstwo.

Dudycz zaś postanowił na wszystko się zgodzić, rachując iż przyszłość zmieni warunki, a Włoszka będzie musiała się im poddać.

Milczeli oboje, gdy Dżemma się odwróciła, stanąwszy zdaleka przy oknie.

— Wiecie warunki — rzekła — rękę wam dam, więcej nic. Żadnej mocy nademną. Po ślubie natychmiast wyjeżdżamy za młodym królem do Wilna.

— Wiecie że ja się zgadzam na wszystko — rzekł krótko Dudycz.

— A wy powinniście wiedzieć — dodała Włoszka — że jeżeli myślicie mnie oszukać, zawieść, siłą przemódsz, zawiedzicie się na tem. Mam obrońcę w królu, w królowej, ale i w sobie samej, tak.

To mówiąc z za sukni dobyła sztylecik w misternej oprawie, obnażyła jego ostrze i schowała napowrót.

Dudycz milczał.

— Przygotujcie się do ślubu razem i do podróży. Jedna z moich towarzyszek pojedzie z nami, ale i służby i wozu, jaki przystał mi, potrzebuję.

— Kolebkę mam szkarłatem wybitą — odparł Dudycz. — Cztery woźniki jak najlepsze. Służbę znajdę i dwór okazały. Na niczem wam zbywać nie będzie.

— Oprócz klejnotów moich, sukien i sprzętów — dodała zimno Włoszka — nie mam nic. Pieniądzy, gdyby mi je dała królowa, nie podzielę z wami, ani wam dać tknąć, muszę je mieć na wszelką przygodę.

— Ja ich nie potrzebuję — odparł Dudycz, który widząc, że wszystko się nadspodziewanie jego lepiej i łatwiej składało, odzyskiwał mężstwo i zaufanie w sobie.

Dżemma stała straszliwie blada i drżąca. Spełniła ofiarę, ale w głowie jej jeszcze nie mogła się pomieścić ta straszna myśl umowy z człowiekiem wstrętliwym, który w niej obawę obudzał, równą i odrazę — i lzy rzuciły się jej z oczów.

Dudycz postąpił kroków parę, jakby rękę jej chciał ująć i pocałować — Włoszka z krzykiem się schroniła we framugę okna, odpychając go rękami.

— Nie zbliżaj! nie zbliżaj się do mnie. Idź przygotowuj co potrzeba... dziękuj królowej, mnie nie! Nigdy...

Zmięszany Petrek cofnął się do progu i zamruczał, że i dla ślubu i dla wyjazdu naradzić się z nią, aby wedle myśli jej postąpić, będzie potrzebował.

— Możecie przyjść, jak teraz — odparła dumnie — lecz żadnej poufności. Nie znoszę jej, pamiętajcie o tem.

Petrek posłuszny, zwolna doszedłszy do drzwi, wysunął się z komnaty, a znalazłszy się w kurytarzu, jak pijanym się uczuł, otarł czoło okryte potem, musiał stać chwilę nim oprzytomniał.

Dżemma po swojej izdebce latała także jak oszalała, chwytając i rzucając co jej pod rękę wpadło, stając zadumana i rwąc piękne swe włosy, a Dudycz zbierał myśli rozbite, doszedłszy nagle do celu, i nie wiedząc sam czy dobrze czy źle się stało. Wierzył w to, że Włoszkę ugłaszczce i pokona, ale teraz wydała mu się zblizka daleko dzikszą niż ją wyobrażał sobie.

Przywykły do oszczędności Dudycz, obrachowywał też w myśli na jak wielkie ofiary naraża go wymagania kobiety, która wcale żałować go nie myślała.

Zamechska, do której poszedł z tak zwieszonym smutnie nosem, jak gdyby mu się nie powiodło, teraz mu już nie odmówiła pośrednictwa. Zwołano Biankę, Dudycz potrzebował wiedzieć jak się miał do podróży przygotować, aby w samym początku nie być wystawionym na przykre z żoną zatargi.

Przyjaciółka podjęła się chętnie wybadać Dżemę, ale nietylko ją, trzeba było pytać królowę o pozwolenie na służbę i wybór w drogę.

Dudycz musiał dobrych parę godzin siedzieć, nim mu przyniesiono wyrok na niego wydany. Potrzeba było dwie kolebki przystojne pod panią i jej dwór. Królowa chciała aby jej towarzyszyła Bianka, która donosić miała o wszystkim. Oprócz tego dwoje dziewcząt służących i stara Włoszka wyznaczona przez Bonę, miały towarzyszyć pani Dudyczowej.

Choć niemłody już, Petrek nie miał prawa siedzieć w kolebce z żoną, powinien był wraz z ludźmi jechać konno przy jejmościnej kolebce.

Nie koniec na tem; gdzie szły dwie kolebki, z których jedna musiała być aksamitem obitą i złoconemi mosiężnemi balasami przyozdobioną, druga suknem szkarłatnem — co najmniej dwa wozy pod skórąmi trzeba było mieć dla przyborów podróży, pod skrzynie i sepety jejmości, pod żywność dla ludzi i koni, pod zapaśną zbroję, pościele, wojski, kobierce, wezglowia, poduszki, które każdy z sobą woził, kto wygody potrzebował. Dalej jeszcze przy czterech wozach i tyłu woźnikach, ludzi też musiało być dla bezpieczeństwa i posługi najmniej kilku i to nieladajakich.

Gościńce leśne ku Litwie niewszędzie były bezpieczne, często po kilka i więcej mil piaszczystą drogą wlec się było potrzeba nie znajdując ani gospody, ani wsi, ani szopy. Na wszelki przypadek i namiocik jeden, drugi, i żłoby a sochy do nich dla koni wieźć z sobą było potrzeba, a do kuchni miedź i naczynie, a dla pragnienia baryłek parę. Wszystko to, ze śmiejącą się Bianką, która awanturniczej podróży dosyć była rada, rozmówiwszy się i ponotowawszy Dudycz za głowę się pochwyił, choć miał ochotę za miezek ująć, bo rachował co to go kosztować będzie.

Włoszka widząc go zafrasowanym, krzyknęła mu.

— Zawczasu się rozmyślcie! macie jeszcze czas się wycofać, jutro będzie zapóźno! Kłamka zapadnie.

Ale Dudycz przez samą miłość własną cofać się nie myślał i odparł, że mu nie o pieniądze szło, ale o czas krótki na pościąganie wszystkiego, bo w Krakowie, choćby Dżemma się nawet nie tak niecierpliwiła, powietrze coraz groźniej występujące pozostać dłużej nie pozwalało.

Dudycz więc pobiegł co rychlej na miasto, gdzie za pieniądze zawsze wszystkiego dostać było można. A choć przyjaciół nie miał, pomocników płatnych stręczyło się podstatkiem.

Po drodze spotkawszy się z panem Bonerem, nie zaparł się przed nim, że Włoszkę miał zaślubić, ale więcej mu nie powiedział nic. Resztę dnia tego, nie spoczywając na chwilę, użył Petrek na zamawianie ludzi, kupno koni, uprzęży, jednej kolebki, której mu brakło, wozów itp.

Późno w nocy w gospodzie jeszcze gwarno u niego było... i izba zarzucona uprzężą, bronią, naczyniem, wyglądała jak szpichrz nieporządnny, gdy wpadł do niej Marsupin.

Wiedział on już od podskarbiego o małżeństwie, ale mu niespełna dawał wiarę — przybiegł się czegoś dowiedzieć.

Wyszli razem do alkierza.

— Widzę z waszmości zajęcia, że chyba prawda iż żenisz się, i z żoną do majątku wraz jedziesz. Prawdali to?

— Prawda — odparł Dudycz — ale co mam wam kłamać, kiedy to rychło na wierzch wynijdzie. Jadę z żoną do Wilna.

Marsupin odskoczył od niego i spojrzal z pogardą.

— Że się z kochanką króla żenisz — zawołał — to jeszcze mniejsza; znalazłoby się wielu coby ją wzięło, lecz żebyś ją potem królowi wiozł, toć nie do wiary!

— A któż mówi, że ja ją wiozę królowi — odezwał się Dudycz. — Jedziemy, aby z jego łaski korzystać i pod opiekę się oddać. Na Litwie ziemi ma do rozdania dosyć.

Włoch ruszył ramionami.

— Ślepy jesteś jak kret — rzekł. — Królowa matka na to wesele dzwoni, za jej wiedzą jedzicie, jawna rzecz o co chodzi, aby król do żony nie tęsknił i z nią nie żył.

Cóż wasza za powinność będzie — rozśmiał się szydersko Marsupin — na straży stać, gdy się J. K. Mość z waszą żoną zabawiać będzie.

Dudyczowi twarz pobladła i poczerwieniała zaraz, zabelkotał coś niewyraźnego.

— Pozwólcie — dokończył — to moja sprawa, niczyja!

— Pewnie — odparł Marsupin — jak sobie pościelesz tak się wypisiz; ale pamiętajcie, że gdyście dotąd niewiele mieli miru u ludzi, teraz go mniej jeszcze pozyskacie, choćbyście łaskę młodego króla mieli.

Włoch, któremu pono o to tylko szło, aby się przekonał, jak rzeczy stały, a nie o nawrócenie Dudycza, którego upor i głupotę znał dosyć, pożegnał go od niechcenia i precz szedł.

Wszystko potem wedle programu się dokonało, z tym dodatkiem, iż, mimo skąpstwa swego, Bona starając się ująć kochankę syna, około której ciągle teraz pilno się krzątała, wyprawę jej dała obfitą i kosztowną. Nie brakło ani tkanin na suknie, ani futer, łańcuszków i naczyń, ani pięknych drobnostek, tak, że Dudyczowi Biana dała znać, iż bodaj jednego wozu pod skrzynie będzie mało, a Dżemma nic nie chciała w Krakowie zostawiać. Ślub potem odbył się zrana o świcie w katedralnym kościele, przy którym mało co świadków było i wkrótce po nim, padłszy do nóg Bonie płacząc, Dżemma wraz z dworem swym wyruszyła ku Litwie.

Biana i stara Włoszka dodane jej były nie tak dla niej samej, jak dla interesu Bony, która o synu chciała być zawiadomioną, a na rozkochaną Włoszkę nie mogła się zdać we wszystkim.

Chociaż ożenienie pośpieszne i zaraz po niem wyjazd z Krakowa Dżemmy trzymany był w tajemnicy, cały świat wiedział i mówił o nim. Bona tylko głośno się odzywała, że Dudycz z żoną do majątności swych wyjechali w Krakowskie, a nie, jak fałszywie utrzymywano, na Litwę. Marsupin głową potrząsał i głośniej jeszcze twierdził, że Bona trwała w niegodziwym zamiarze rozdzielania młodego małżeństwa, i że ona to małżeństwo skleiła, aby Dżemkę do Wilna wyprowadzić, nie narażając siebie.

Wyjazd królowych obu i starego pana, przybory do niego, popłoch jaki powietrze w Krakowie obudzało, nie dozwalały w pierwszej chwili bardzo się szerzyć tym pogłoskom. Wysłano młodego króla, wyjeżdżała reszta dworu, uciekał Gamrat do dóbr arcybiskupich, panowie wszyscy opuszczali nieszczęśliwy Kraków, więc i bogatsze mieszczaństwo i kupcy uciekali gdzie kto mógł, w lasy, na wsie i folwarki, gdzie bezpieczniejszemi czuli się od zarazy.

Nieszczęśliwego Marsupina los był nie do pozazdroszczenia. Gdy pierwszych dni sierpnia naostatek królestwo z młodą panią wyjeżdżali na Mazowsze, napróżno domagał się, prosił, napierał, zabiegał, aby go dopuszczono do Elżbiety. Bona czuwała tak i przez Opalińskiego ostawiła strażami synową, że Włoch się do niej docisnąć nie mógł w żaden sposób.

Opaliński mu z zimną krwią dowodził, że poselstwo, jakie sprawiał do królowych, królów obu i innych osób, spełnił już, że nie miał tu nic więcej do czynienia, a uwłaczającego sobie szpiegowania czynności królestwo oboje dopuścić nie mogą. Nalegano na Włocha aby precz jechał.

Lecz tu się w istocie sprawdziło przysłowie: trafiła kosa na kamień. Nikt nigdy Bonie tak srodze i zuchwale nie dojadł i nie dokuczył jak ziomek jej, Włoch, ów Marsupin. Oprócz gorącego temperamentu człowieka, przywiązania jego do króla rzymskiego, któremu służył, politowania nad losem królowej młodej, w grze była dla Marsupina jego miłość własna. Im bardziej starała się go poniżyć, odepchnąć Bona, tem zajadlej trwał na stanowisku nie dając się ni ująć, ni ustraszyc.

Było w tem i coś zemsty za pomiatanie nim i grubijańskie obchodzenie się i chęć gorąca postawienia na swoim.

Odepchnięty od dworu, gdyż i król Zygmunt Stary dał sobie wmówić, iż szpiega cierpieć był nie powinien, Marsupin pozostał pomimo powietrza w Krakowie, wysławszy

listy do króla, prosząc o nowe pełnomocnictwo, o pismo dla doręczenia Elżbiecie, o coś takiego, co by go upoważniało dobijać się do drzwi zamkniętych.

Mówiono, iż królestwo po kilkodniowym spoczynku w Nowem mieście Korczynie, udać się mieli na Mazowsze i tam w lasach przebyć ten czas, dopókiby mór w Krakowie nie ustał. Spodziewano się, że za parę miesięcy, gdy upały ustaną, jesień i zima się zbliżą, powietrze zniknie. Włoch gotów był, jak tylko listy otrzyma, ruszyć za dworem i do Korczyna i na Mazowsze, chociaż pieniędzy mu już brakować zaczynało, zdrowie szwankowało, a pomocy od nikogo nie przyjmował, aby panu swemu ujmy przez to nie czynić.

Włoch krzyczał w niebogłosy przeciwko rozłączeniu młodej pary, dowodził, że siłą wstrzymano królową Elżbietę, która i chciała i powinna była towarzyszyć mężowi do Wilna; bił w to, ażeby jej dozwolono natychmiast się z nim połączyć.

Dopomagali mu w tym i potakiwali biskup Maciejowski i podskarbi Boner, ale oni nie występowali pierwsi, jemu pozostawiając aby intonował i trąbił o tej krzywdzie i ucisku.

Z pewną pociechą dla siebie, Marsupin w pustym i coraz puściejszym Krakowie zostawszy sam prawie, dowiedział się trzeciego dnia po odjeździe obojga królestwa z Elżbietą, że król Zygmunt Stary czy to skutkiem wzruszeń jakich doznawał, czy podróży w porę skwarną, zaraz do Niepołomic ledwie dojechawszy zachorował, a lekarze mu tu spoczywać kazali, dopóki sił nie odzyskał. Chociaż zameczek w Niepołomicach i miejscina niebardzo do długiego pobytu się nadawały, położenie wśród lasów, odosobnione było rękojmią, iż powietrze tu niełatwo przeniknie.

Wszelkie oprócz tego ostrożności przedsięwzięto, aby z Krakowem zapowietrzonym zerwać całkiem stosunki, nikogo tu nie dopuszczając i odosobnić dwór zupełnie.

Włoch wiedział o tem i przeczuwał, że mu do Niepołomic niełatwo się będzie dostać, ale upartym był i rachował na biskupa Maciejowskiego, który mu powinien był przystęp ułatwić.

Oczekiwane listy od króla Ferdynanda zaledwie nadeszły, gdy już nazajutrz Marsupin siadł na koń i ruszył ku Niepołomicom.

Ledwie milę ujechawszy, spotkał dworzanina królowej starej, Morawę, którego często widywał i który go znał dobrze. Zdziwionym był bardzo dowiadując się, iż o jego zamiarze dostania się z listami do króla, Bona już była zawiadomiona i kazała mu powiedzieć, żeby się nie ważył zbliżać, bo dopuszczonym nie będzie.

— Muszę być dopuszczonym — odparł Włoch.

— Z Krakowa nikomu nie wolno do nas — odparł Morawa — królowi i wszystkim przez to grozi niebezpieczeństwo. Darmo jechać będziecie, strażę stoją i rozkaz mają.

Włoch się rozsierdził.

— Mam listy i przesyłkę od ojca królowej — zawołał — z królem i młodą królową widzieć się muszę. Niczyich rozkazów nie słucham. Moru nie przywiozę, bom dzięki Bogu zdrow, a lada czem się zastraszyć nie dam.

Tak odprawivszy tego posła, Marsupin gniewny i rozjątrzony, sam, gdy się ten zawrócił, podążył za nim dalej ku Niepołomicom.

Ustąpić nie mógł.

Już prawie pod samymi Niepołomicami, bo miasteczko w dali widać było, zabiegł mu drogę sekretarz biskupa Maciejowskiego, młody Drwęcki. Wysłanym on był umyślnie i z frasobliwą miną zbliżył się do Włocha.

— Na Boga miłego — zawołał witając Włocha — ani myślcie się do nas dostać, królowa Bona przeciwko wam rozżalona, gniewna, gotowa na wszystko, a jej ludzie nie będą was szczerzyć... ks. biskup w największej o was trwodze. Życie możecie stawić na kartę. Zaklinam was, nie jedźcie.

Marsupin się nie strwożył.

— Życie oddawna ważyłem — rzekł — cofnąć mi się niepodobna. Listy mam, które mi polecono oddać, rozkaz spełnić muszę i spełnię.

Drwęcki objął Włocha, odwiódł na stronę i łagodnie go poczał.

— Wiecie dobrze, iż ks. biskup płocki sprzyja młodej królowej, a waszą gotowość do jej usług wysoko ceni, posłuchajcie go. Nie narażajcie się nadaremnie. Do króla z listami czy bez listów nie dostaniecie się, bo chory jest; a gdy choruje, Bona go na krok nie odstępuje i ona przy jego łożu pania. Nikt i nic nie pomoże.

— Wrócić nie mogę — odparł Marsupin.

— Ks. biskup radzi udać się tymczasem do Bochni i tam czekać — rzekł Drwęcki. — Tymczasem on wyrobi to przynajmniej, ażebyście listy odesłać mogli. Co się tyczy was, Bona się zakłęła, że was nie dopuści.

— A jam się zaklął, że przebojem dostanę się bodaj — zawołał Marsupin. — Powiedzcie ks. biskupowi, iż dla czci króla pana mojego, jako poseł jego ustąpić nie mogę. Mam listy, mam szkatułkę dla królowej Elżbiety, nie oddam inaczej jak do rąk własnych.

Chciał Drwęcki jeszcze trwogę wrazić Marsupinowi, ale napróżno.

— Wiecie — rzekł — iż Bona ludzi ma, którzy gdy jawnie czego nie potrafią dokazać, nie zawahają się i zasadzkę uczynić i potajemnie człowieka sprzątnąć. Królowej dokuczyliscie wielce, odgraża się przeciwko wam, bądźcie ostrożni.

Po długim sporze Włoch się dał przekonać o tyle tylko, że tymczasowo obiecał czekać w Bochni, ale prosił Drwęckiego, aby biskupowi oświadczył, że co odłożone to nie porzucone, i że on poselstwo, bądź co bądź, spełnić musi.

Wskazał tedy Drwęcki drogę do Bochni Włochowi, kawalek go jeszcze przeprowadziwszy — i tak się rozstali.

Marsupin ruszył do Bochni jak przyrzekł i tu w lichej bardzo gospodzie postanowił czekać.

Jak mu się tu działo, mówić nie trzeba. Wygód wszelkich brakło, lecz Marsupin na to był obojętnym. Kawalkiem chleba i zieleniną obchodzić się był gotów.

Cały tydzień upłynął na tych smutnych rekolekcyach bocheńskich Marsupinowi, który już i żupy opatrzył i z ludźmi się poznał i do proboszcza trafił i czem tylko mógł czas zabijał.

Zniecierpliwiony Włoch, dłużej już czekać bez wiadomości żadnej ze dworu nie mogąc, wystosował list błagający do króla starego, aby mu poselstwo sprawić dozwolono.

Ale list wyprawić nie dosyć było, musiał posłańca wyszukać takiego, któryby się podjął to pismo oddać do króla naówczas, gdy przy nim się znajdował Maciejowski, na którego pomoc rachował.

Nastęczył się urzędnik od żupy, który pieniądze wiozł, a którego Włoch sobie ujął datkiem, zakławszy go, aby nie inaczej jak przy ks. Samuelu list wręczył. Tak się też stało.

Ale oprócz biskupa, nieodstępna Bona siedziała u łoża, bo ile razy król chorował, chodziła około niego z pieczołowitością wielką, wiedząc, że życie małżonka stanowiło o jej panowaniu.

Ufała miłości syna, lecz przewidywała, iż zawsze nad nim władzy jaką miała utrzymać nie potrafi.

Zaledwie ks. Samuel list otworzywszy czytać rozpoczął, gdy królowa się porwała z krzykiem.

— Za nic w świecie nie chcę tu mieć Marsupina... za nic!

Król zwrócił się flegmatycznie z zapytaniem ku niej.

— Dlaczegożby nie miał przybyć do nas? — zapytał.

Nim królowa zebrała się na odpowiedź, Maciejowski się odezwał.

— Wiem o tem na pewno, że Marsupinowi zabroniono przystępu na dwór w Krakowie i zakazano mu jechać za nami. Musiał pozostać. Jest to obraza dla króla rzymskiego, gdy się jego posła poniewiera.

Bona krzykiem i płaczem mówić biskupowi nie dała, który zamilkł.

Krzyknęła Bona, coraz się bardziej unosząc.

— Nie chcę tu tego zuchwalca. Dosyć od niego cierpiałam. Nie dopuszczę go. Nie pozwolę.

— Pozwolisz W. K. Mość mnie przynajmniej — przerwał Maciejowski — iż ja słowo rzeknę za posłem, bo dla króla i dla nas igrać z cesarzem i królem rzymskim niebezpieczna. Mścić się będą, Włocha raczej trzeba ugłaskać niż jątrzyć.

— A ja! ja tu już u was nic nie znaczę — poczęła wrzaskliwie królowa. — Wszystko dla młodej czynicie, dla mnie nic. Cóż wam ta młoda przyniosła? co? ja wam skarby wniosłam, a ona grosza nie ma.

Zygmunt się począł gniewać i zawołał.

— *Tace fatua!* (milcz głupia). Tyś mi nic nie przyniosła! nic!

— Jaktó — przerwała z wściekłością Bona — nie przywiozłam-że 50.000 dukatów i skrzynkę drugie tyle wartającą?

Maciejowski nie wtrącał się już, ale król aż drżał z oburzenia i powtórzył.

— Niceś mi nie przyniosła! Co przyniosłaś, to trzymasz dla siebie, ja twojego szeląga nigdy nie widziałem, a niemałom dał. Elżbieta jest tak jak córką moją, za córkę ją mam, krew to moja; nie da posagu ojciec, ja go jej dam, bo chcę, aby posag miała.

Zawrzało tedy okrutnie.

— Tak! — krzyknęła królowa — synowi swemu odbierzesz a jej dasz.

— Synowi dosyć po mnie pozostanie — rzekł król uspokajając się — a ona jest córką moją. Jakem raz powiedział tak będzie i słowa dotrzymam. Gdybym jutro umarł, to przedewszystkiem ze skarbu mego przeznaczyłem dla niej 50.000 sztuk złota, a z tego co zostanie, kto wie? może i grosza synowi nie dam, gdy mi się podoba.

Tu nastąpiła zwykła scena, na której zawsze się w takich razach kończyło. Gdy Bona nic słowami, prośbami, groźbami wymódcz nie mogła, poczynała krzyczeć, włosy rwać na głowie, na podłogę padać, i jak szalona się rzucać, nie zważając na przytomnych, na służbę, na nikogo.

Król najczęściej zmożony nieznośnym wrzaskiem ulegał i odpuszczał ją, godząc się na wszystko dla spokoju, lecz tym razem przytomność biskupa, czy przywiązanie do Elżbiety nie dozwoliły mu uledez.

Bona unosząc się krzyknęła.

— Polacy są najgorsi ludzie w świecie.

Biskup obrażony wstał i odparł.

— N. Pani, Polacy źli nie są, ale do zbytku cierpliwi.

Zygmunt natychmiast ręką uderzywszy o krzesło silnie, nakazując zawołał.

— Milczeć!

Bona z płaczem padła na krzesło.

Korzystając z tego Maciejowski, ciągnął dalej.

— Okazuje się z listów, że Marsupin, oprócz nich, ma dwie szkatułki do wręczenia królowej. Byćby mogło, że się w nich część posagu znajduje.

Zygmunt słysząc to spojrział na Bonę. Nastąpiła chwila milczenia.

— Więc niech przyjedzie — zawołała królowa — niech przyjedzie, odda szkatułki, ale potem natychmiast precz! Ja tu szpiega tego cierpieć nie mogę, tego niegodziwego potwarcy.

Ks. Maciejowski wstał, czekając rozkazów króla.

— Pisz do niego ks. biskupie, aby przybywał.

Nazajutrz Marsupin uszczęśliwiony odebrał list i chwili nie tracąc siadł na koń do Niepołomic. Miał zezwolenie, ale znając usposobienie królowej dla siebie, wiedział dobrze, co go tu czekało.

Niechęć Bony miała go ścigać zawsze, bo Włoszka nie zapominała nic i nie przebaczała nigdy.

Przed miasteczkiem jeszcze na drodze od Bochni spotkał Marsupina sekretarz biskupa.

Niepołomice strzeżone ze wszystkich stron, wyglądały jak czasu wojny, a około zameczku pozapalane kupy liści dymiły i wyziewem gorzkim przepędiały powietrze.

Marsupin jechał z miną tryumfującą.

— A co? — zawołał wesoło, witając niskim ukłonem Drwęckiego. — Widzicie? Ja i moje szkatułki zdobyliśmy szturmem nieprzystępne Niepołomice. Cóż królowa?

Drwęcki miał poważną twarz i lice niewesołe.

— Tak — odparł — księdzu biskupowi i szkatułkom winniście, że was tu dopuszczono, ale nie pochlebiajcie sobie, ażebyście wielkie i trwałe odnieśli zwycięstwo. Królowa musiała ustąpić, ale tem gorzej. Nigdy ona wam tego nie przebaczy. Wszyscy co ją znają wiedzą, że nienawiść i chęć zemsty ku wam wzmogła się przez to. Miejcie się na baczności.

Marsupin był w tak szczęśliwym usposobieniu czując, że na swem postawił, iż się śmiać począł.

— Oczarować mnie, tak jak czarami starego i młodego króla przykuła do siebie, nie będzie miała czasu — rzekł śmiało — otruc się nie dam, bo jeść u jej stołu nie będę, a zechce nasadzić zbirów na mnie, mam nadzieję w Bogu, że obroni.

— Zbyt nie ufajcie tylko gwiazdzie waszej — dodał Drwęcki.

Od sekretarza dowiedział się Włoch, że miał wprawdzie pozwolenie oddania listów i szkatulek, ale razem zastrzeżono, że natychmiast potem oddalić się musi.

Nie dozwolano nikomu, pod żadnym pozorem, przybywającemu z Krakowa pozostawać dłużej w Niepołomicach, zerwano ze stolicą wszelkie stosunki, i nie bez przyczyny, gdyż w istocie powietrze coraz się więcej srożyło w mieście, a już w Niepołomicach i po drodze, mimo wszelkich ostrożności, kilku pacholków i służby poumieralo.

— Ks. biskup Maciejowski — dodał Drwęcki — kazał was ostrzedz, że zaprawdę nie wie, jeżeli noc wam tu przepędzić przyjdzie, gdzie się pomieścicie. My na zamczku w Niepołomicach tak ciasno siedzimy, że ks. Samuel ma ledwie jedną izbę dla siebie, drugą dla nas, a służba i zarząd dworu cała w rękach królowej, więc pewnie wam kwatery nie znajdą. Na mieście wszędzie pełno, a gdzie ludzi gęsto tam pod ten czas powietrza, nie jest bezpiecznie.

Marsupin ręką zamachnął.

— Ale! ba! — zawołał — o to się ja bynajmniej nie troszczę i gotówem pod gołem niebem koczować, bylebym spełnił polecenie mego pana, listy do rąk pooddawał, a z królową Elżbietą się widział.

Nie będą nawet, wiedząc o tem, nikogo prosił o pomieszczenie, a gdzie konie moje w jakiej szopie staną, tam i poseł króla rzymskiego na słomie lub na ziemi spocznie.

Oczekiwano już w Niepołomicach na Marsupina, aby się go pozbyć co najprędzej. Zaledwie przed pierwszym podworcem z koni zsiadli, tuż przy owych kurzyskach z liści dębowych i piołunu, ledwie Włoch zdołał dobyć szkatułki owe sławne, w których nie było posagu, ale małe podarki matki, ojca i rodzeństwa dla królowej, wysłani dworzanie szeregiem postawieni, ofiarowali się Marsupina prowadzić do Elżbiety.

Włoch złośliwy a chytry, umyślnie — dopiąwszy już celu — zwólczył tak, aby z tą ceremonią oddawania listów i szkatulek przeciągnąć prawie do wieczora. Wiedział bardzo dobrze, iż w skrzynkach ozdobnych nie było pieniędzy, ani tak dalece nic kosztownego, ale nadał tej ceremonii taką cechę uroczystą, jakby skarby lub relikwie przywoził.

Urągał się tem królowej Bonie.

Sam strojny, przy szpadzie, z miną pełną powagi, służba napuszona jakby świętości dźwigała, skierowali się pochodem wolno wskazaną drogą, do pokojów szczupłych, w których Elżbieta oczekiwała posła.

Marsupin pysznił się zwycięstwem, nasycił niem, przedłużał z namysłem przyjęcie, tak aby dnia tego nie spełnić całego poselstwa i mieć powód pozostania dłużej na przekór królowej.

Zobaczywszy Elżbietę, która go bardzo uradowana, wesołą twarzą i wzrokiem jasnym przyjęła, zdziwił się nieco widząc ją daleko rzeświejszą, mniej cierpiącą, odżywioną więcej niż się spodziewał.

Obok Elżbiety tylko jej piastunka i pozostałe cztery panny cały dwór składały.

Długą, rozwlektą mową Włoch począł ją pozdrawiać, położył listy, oddał dwie szkatuły i w końcu oświadczył, że ponieważ dnia tego późno było, musiał rozmowę z królową do innego odłożyć, a oprócz tego i królowi Zygmunutowi i królowej Bonie oddać dla nich przeznaczone pisma.

Królowa spytała o zdrowie rodziców, wymieniono słów kilka i Włoch, gdy już zmierzać zaczynało, usunął się, wprost zmierzając do ks. biskupa Samuela.

Znalazł swojego protektora i pośrednika zakłopotanym wiele.

— Spełniliście poselstwo wasze? — zapytał go wprowadzając do siebie Maciejowski — chwalcieź Boga za to i nie drażnijcie złego!

— Ale ja mego poselstwa zaledwie część spełniłem — odparł nisko się kłaniając Marsupin. — Choćbym miał podrażnić, nie ustąpię aż się z królową Elżbietą rozmówię i powiem jej co mi nakazano, aż królowi wręcę list, no i królowej też Bonie.

— Lecz wiecie jak dla was usposobiona jest? — odparł biskup.

— Wiem i mam tego dowody — rzekł zimno Marsupin — ale to mnie od spełnienia obowiązku nie powstrzyma. Nie ruszę się stąd, aż mi miłość wasza wyjedna posłuchania.

Biskup westchnął.

— Nie wiem — rzekł — czy to dobra polityka z waszej strony, że Bonę zagniewaną przywodzicie do ostateczności.

— Ustąpić nie mogę — odparł Marsupin. — Com zamierzył, dokonać muszę. Mam za sobą króla rzymskiego i cesarza, a pogrożek się nie obawiam.

Biskup spojrział nań błagająco.

— Żal mi was, są tysiączne sposoby pozbycia się dokuczliwego człowieka, bez ścignienia za to odpowiedzialności. Miarkujecie...

— Ważyłem już — zimno odezwał się Marsupin — o jedno proszę, abyście mi waszej opieki nie odmawiali.

— O ile ona starczy! — westchnął Maciejowski.

Chwilka milczenia przerwała rozmowę.

— Frasuję się o nocleg wasz — odezwał się biskup. — Widzicie jak ja tu się mieszczę, przyjąłbym was, ale nie mam gdzie, a na zamku w istocie jak śledzie w beczce się ściskamy. W miasteczku nie lepiej.

Marsupin się rozśmiał.

— Prosić o gościnność nie będę, aby nie mieli przyjemności mi odmówić jej. Konie gdzieś w szopie któreś musiały znaleźć pomieszczenie, przenocuję przy nich na lada barłogu.

Tak się w istocie stało i Włoch, gdy po dłuższej rozmowie rozstał się z Maciejowskim, naprzód musiał iść już po ciemku koni swych i ludzi szukać. Znalazły się one po za zameczkiem w nędznej, na pół rozwalonej szopie, w której oprócz nich gawieź od wozów najbrudniejsza i najlichsze szkapy się mieściły. Ciasno było, a co gorzej, szopa w cieniu za murami i u ścieków leżąca, w pół zgniła, ziemię miała wilgotną. Słomy na postanie za nic dostać nie mógł Marsupin.

Królowa zakazała surowo, aby mu w czemkolwiek, choćby płacił, usłużono.

Kątek zdobywszy prawie przebojem, Włoch na zgniłych liściach i śmieciu rozelałszy kobierczyk, musiał ledz i całą noc nie śpiąc nad ranem poczuł przejmujące go dreszcze.

Znał się z tem, wiedział że dostał febry upartej, z którą mu długo walczyć przyjdzie. Lecz rycerski ów duch, który go utrzymywał w tej walce z królową, chorego nie opuścił.

Wstał jak złamany, ubrał się i powlókł do biskupa, którego nie zastał, bo już u króla był. Tu go Drwęcki przez litość, polewką winną, ciepłą napoił i orzeźwił trochę.

Biskup nierychło wrócił od króla z oświadczeniem, że dla cierpień pedogrycznych w nogach przyjąć posła nie będzie mógł Zygmunt; radząc Marsupinowi aby się o posłuchanie nie upierał i jemu wręczył listy.

Włoch zgodził się na to, choć niechętnie.

— Przecież — rzekł — z królową starą i młodą widzieć się muszę.

Nie sprzeciwiał się Maciejowski, a po chwili odwrócił się do Marsupina, szepcząc cicho.

— Nienasycony człeczko! ciesze się tem coś zdobył, nie żądaj nadto abyś sprawy nie popsuł. W istocie wczoraj otrzymałeś wiktoryę wielką, bo gdy się król Zygmunt o owych uroczystościach niesionych i oddawanych szkatułkach dowiedział, które wam usłużyły tak dobrze, choć, zamiast posagu zawierały pono wachlarze i kolce, począł się tak śmiać, iż mi potem sam rzekł, że od lat dziesięciu nigdy tak się nie uśmieł serdecznie jak wczora.

Marsupin skrzywił się nieco.

— Daj mu Boże na zdrowie! — dodał — bardzo się z tego cieszę.

Dziś do królowej Elżbiety się wpraszam, bo z nią rozmówić się sam na sam muszę.

Z tem żądaniem posłany Drwęcki, nie rychło powrócił.

Bona pragnęła co najrychlej nieznośnego Marsupina pozbyć się z Niepołomic, znała upor jego, zgodziła się więc w końcu na to, aby go puszczono, sadząc, że po tej konferencji precz nazad do Krakowa go odprawi zaraz, gdyż tu go cierpieć nie mogła i nie chciała.

Marsupin żegnając biskupa zapowiedział mu po cichu, iż co najmniej godzin kilka pozostanie u młodej pani, a przynajmniej najdłużej jak będzie mógł.

Dla Włocha wczorajsze krótkie widzenie się z Elżbietą było w istocie niewystarczającym. Nie mógł jeszcze zrozumieć położenia, wytłómaczyć sobie twarzy pogodnej i rozweselonej przy tym ucisku o jakim wiedział.

Chciał rozmówić się otwarcie, obszernie, szczerze.

Elżbieta rozumiała to dobrze, ale zupełnie się zwierzyć Marsupinowi nie chciała. Ta nadzieja pozyskania serca męża, którą teraz żywiła wspomnieniem ostatnich słów wy-

rzeczonych przy pożegnaniu, była jej najdroższą tajemnicą, serdeczną, nikomu, nawet piastunce niedostępną. Wyznać jej Marsupinowi nie mogła.

Wchodząc znalazł ją samą Włoch, stojącą przy stoliku, świeżo ubraną i tak jak wczoraj uśmiechniętą, spokojną, bez troski na czole. Nie mogło to być skutkiem nieczułości, obojętności, bo choćby męża nie kochała, sama miłość własna obrażona musiała uciskać. Marsupin tej mocy ducha w młodziuchnej pani pojmował.

— Przynoszę W. K. Mości — odezwał się na wstępie — pozdrowienia najczulsze, ale razem wyrzuty i wymówki, których zataić nie mogę. Kazano mi nastać na to, aby W. K. Mość jako córka potężnego monarchy, synowica cesarza, rzuciła tę dziecinną nieśmiałość, to posłuszeństwo niewolnicze, które ją tu niewolnicą czyni.

Elżbieta wzrokiem go błagać się zdawając, milczała.

Marsupin mówił dalej, coraz się bardziej ożywiając.

— Królowa Bona korzysta z nieśmiałości waszej, rozkazuje dlatego, że słuchacie, ale nie będzie mogła nic uczynić, gdy objawicie otwarcie wolę waszą, a z pewnością król Zygmunt ją poprze.

Dlaczegoż byś W. K. Mość nie jechała za mężem, jeśli sobie życzysz tego?

Zawahała się nieco Elżbieta i rzekła nieśmiało.

— Dlatego, że nie wiem czy to jest życzeniem króla, pana mego, a jemu się sprzeciwić nie chcę.

Marsupin odparł żywo:

— Król August z pewnościąby tego nie miał za złe, i owszem. Co się tyczy starej królowej, ta się uzuchwała posłuszeństwem. Wiem o tem, że nawet sługi wasze, więcej Bony niż was słuchają.

Uśmiechnęła się królowa obojętnie.

— Cierpliwością i łagodnością — odezwała się — wiele też dokazać można — rzekła cicho.

— Nie ze wszystkimi? — przerwał Marsupin — nadewszystko nie z królową Boną! Idzie tu o godność waszą, o cześć rodziny; nie można się tak dać deptać, upokarzać, i w Bonie jeszcze coraz zuchwalsze tą uległością obudzać zachcianki.

Elżbieta jakby się lękała aby rozmowy nie podsłuchiowano, dawała mu znaki; Marsupin wcale na to nie zważał, jakby jej nie rozumiał. Owszem unosił się coraz mocniej, otwarcie mówiąc przeciw Bonie, co zdawało się mieszać i onieśmielać Elżbietę.

Rozmowa cała w ten sposób prowadzona, chociaż się Marsupin wysilał na to, aby natchnęła mężstwem i przekonała młodą panią, że zmienić była powinna postępowanie, na młodej, bojaźliwej, słabej na pozór Elżbiecie, bardzo małe uczyniła wrażenie.

— Zostawcież mi też coś własnej woli — rzekła. — Może to nie jest chwila w którejbym mogła wystąpić i powinna.

Marsupin czuł, iż nie chciała się przed nim otwarcie wynurzyć, usiłował wydobyć z niej wyznanie jakiegoś, zwierzenie się i zdziwił nadzwyczajnie, w istocie tej tak bojaźliwej i wątlej znajdując opór łagodny wprawdzie, ale niezwykły.

Im Elżbieta mocniej przy nim obstawała, tem Włoch upierał się silniej chcąc ją nawrócić — nadaremnie.

Nadeszła wśród tych rozpraw Hölzelinowna, która potakiwała Marsupinowi i chciała mu przyjść w pomoc, lecz i ona nie potrafiła zmienić usposobienia wychowanicy.

Naostatek Elżbieta odezwała się łagodnie.

— Idzie mi o zdobycie serca małżonka a pana mego, nie o chwilowe zwycięstwo nad królową JMością. Dlatego pozwólcie, abym naprzód uniknęła wszystkiego co może króla Augusta podrażnić. Wiecie jak jest przywiązany do matki.

— To nie przywiązanie syna — wybuchnął Marsupin — to są niegodziwe czary i uroki, które ta kobieta rzuciła na starego i młodego. Ale trwać one nie mogą. Król młody wyzwolony otrząśnie się z tego zdrętwienia.

Zaczął ponownie nalegać Marsupin na to, aby królowa do męża jechała. Elżbieta odpowiedziała, że musi czekać aż August tego zażąda, a jest pewną, iż to nastąpi.

Czy Marsupin pochwycił tę pewność, z którą się wygadała Elżbieta, trudno było się domyśleć, lecz Hölzelinowna posłyszała o tem zdumiona, a znając swą panią nie wzięła tego za próżną przechwałkę.

Wedle postanowienia swego Marsupin, wiedząc iż długi jego pobyt u królowej Elżbiety do najwyższego stopnia zniecierpliwili Bonę, umyślnie się kilka godzin zasiedział, zwlekał, a gdy w końcu zmuszonym był ją opuścić, jeszcze na odchodnym nalegania ponowił.

Bystry i przenikający Włoch, tym razem wobec pełnej prostoty młodej królowej znalazł się w tem niepojętem dla siebie i upokarzającym położeniu, że odchodząc, wyznać musiał, iż jej nie rozumiał.

Jak go witała tak pożegnała uśmiechem jasnym, podając białą rączkę do pocałowania, i upewniając go, że da Bóg, wszystko szczęśliwie się ułoży.

Broniła Augusta, nie skarżyła się na nikogo.

Chociaż późno dnia tego było, Bona chcąc się pozbyć Włocha, byłaby może dała mu posłuchanie, wiedząc iż miał listy, ale Marsupin, który dla szpiegowania i rozsluchania się, rad był tu jak najdłużej pozostać, poszedł do biskupa i do dnia następującego odłożył audyencyę.

Resztę dnia przesiedział u ks. Samuela, przeszedł się po miasteczku, przegadał na ustroniu z różnemi ludźmi.

Czekał go nocleg taki sam jak poprzedzający, którego skutkiem febra we dnie zgubiona, powróciła gwałtowniejszą jeszcze. Pierwszą rzeczą nazajutrz było dreszcze okrutne przemódz gorącym i mocnym napojem, i lekarza się poradzić, ale doktorów królowej Bony Marsupin się obawiał, lekarstw od nich nawet biskup ma przyjąć nie radził, musiał więc poprzestać na jakichś babskich lekach.

Blady, zmęczony, ledwie się na nogach trzymając, bo gorączka wewnętrzna go trawiła, poszedł z listami do Bony.

Łatwo było przewidzieć, jak zostanie przyjęty. Królowa wcale nie myślała udawać nawet, iż nienawiści dlań nie ma.

Posłuchanie trwało bardzo krótko.

Włoch listy oddając, dołożył do nich nietylko gorące życzenia króla Ferdynanda, ale żądanie jego usilne, aby małżeństwo połączone zostało.

— A cóż to do mnie należy? — ofuknęła królowa. — Król syn mój może żonę wezwać, przyjechać do niej, robić co mu się podoba. Czynicie mnie odpowiedzialną za niego!

To nie moja rzecz!

Odwróciła się pogardliwie, a Włoch dodał.

— Cały świat wie o tem, że tu się tylko to dzieje co W. K. Mość rozkażesz. Dlatego też na nią oczy wszystkich są zwrócone.

Bona z oburzeniem poruszyła się.

— Pozdrów króla Ferdynanda odemnie uprzejmie i powiedz mu, że syn mój ma własną wolę.

Na tem skończyło się posłuchanie. Bona wyszła.

Nazajutrz gdy zrana przyszedł biskup do króla i zastał tam ją, z rozplamioną twarzą, odezwała się do niego.

— Oddał mi ten zuchwalec list króla Ferdynanda! Co ten lotr plecie i kłamie, a w oczy mi rzuca! W liście nie ma nic. Ja go każę kijmi obić.

Maciejowski, który nierad drażnił królowę, tym razem nie mógł się wstrzymać i stanął w obronie Marsupina.

— W. K. Mość przebacysz — rzekł — ale Włoch to powtarza co wie cały świat, i co na dworze królewskim i cesarskim jest we wszystkich ustach.

Zarzucają W. K. Mości obchodzenie się z synową nielitościwie, królowej Elżbiecie nie wolno jest mieć własnego lekarza, w taki czas jak dzisiejszy. Każde jej słowo, każdy ruch i czynność podlegają rozkazom, kroku stąpić samowolnie nie może.

Dlaczego nie ma własnej służby, kuchni własnej? Z tego plotki i podejrzenia rosną, że W. K. Mość jawnie jej nie lubią, czyhasz na jej życie.

— Myśla, że ja ją chcę otruć? — podchwyciła Bona gwałtownie.

— Jeżeli głośno tego mówić nie śmieją, to niezawodnie potajemnie podejrzenie to jest we wszystkich — odezwał się Maciejowski. — Przykro mi to wyznać, ale spytany prawdę mówić muszę.

Działo się to w sypialni króla i Zygmunt słuchał rozmowy, co biskupa ośmielało.

Zwykły więc koniec nastąpić musiał — Bona z krzykiem, łkaniem, płaczem rzuciła się na podłogę.

Stary król patrzył obojętnie, z ukosa niekiedy rzucał oczyma ku biskupowi — oba milczeli.

Po chwili porwała się królowa z ziemi.

— Odtąd — krzyknęła — ja jej nic posyłać nie będę. Niech dla niej kupują i gotują osobno. Niech robi co chce.

— Tak będzie lepiej — dodał biskup spokojnie.

Padła potem na krzesło Bona i siedziała dysząc ciężko długą chwilę, aż się jej z ust wyrwało.

— A! gdybym nie miała dóbr, które są w mocy cesarza! dałabym ja naukę temu lotrowi, który mi się tu urągać śmie, i siedzi na przekorę mnie, kiedy ja go mieć nie chcę.

Ks. Maciejowski powróciwszy od króla zastał u siebie Włocha, który się upierał pozostać jeszcze w Niepołomicach.

— Czyń jak chcesz — rzekł ks. Samuel — ale i moją i króla jest radą, abyś do ostateczności nie przywodził królowej. Wierzaj mi, iż ci grozi niebezpieczeństwo. Gdyby ona nie wydała rozkazów, ma sługi, które się domyślą co jej miłem być może. Życie ratuj dla usług królowi. Jedź, proszę.

— Nie dalej jak do Krakowa — odparł Marsupin — i to do czasu. Chociaż mi tam powietrze grozi, choć sam chory ztąd ruszam, nie opuszczę Polski, dopóki mnie tu nie będzie komu zastąpić lub odwołanym nie zostanę.

Po rozmowie z ks. Maciejowskim, widząc że dłuższy pobyt w Niepołomicach stał się niemożliwym, szczególnie dla febry, której się tu pozbyć nie mógł — Marsupin zmuszony został wracać do Krakowa.

Choroba w stajni nabyta na noclegu nie opuściła go rychło, lecz walcząc z nią, uparty Wioch nie zszedł ze stanowiska.

Otoczony morem, narażony na niebezpieczeństwo, wycieńczony febrą złośliwą, trudno było wiedzieć czy przez wierność panu swojemu, czy przez zajadłość przeciw Bonie nie chciał z miejsca ruszyć.

Hetman Tarnowski słał, aby na wieś się schronił do niego, Marsupin odmówił, aby dworu i królowej z oczów nie tracił.

Wyprawa młodego króla na Litwę, w oczach wszystkich uchodziła za ustępstwo rządów wielkiego księstwa na rzecz syna.

Mówiono powszechnie: — Puścił stary W. księstwo Augustowi.

Wyposażenie przez Bonę zdawało się to potwierdzać. Wiedziano że zdawna litewscy panowie się o to dopraszali.

Młody pan wyjechał do Wilna, ale o zdaniu mu rządów i władzy przez ojca mowy nie było tymczasem. Zdawało się jakby pobyt ten miał go przygotować do rządzenia, ułatwić mu poznanie ludzi, obyczajów i kraju.

Tłómaczeniem, dlaczego nie zabrał z sobą żony, mogło być, że przed niewielu laty spalony dolny zamek wileński, w którym wielcy książęta mieszkali, potrzebował odnowienia i wyporządzenia.

Litwa cieszyła się samym odgłosem podróży, widząc w niej nieochybną zapowiedź nowych rządów, o które teraz tem natarczywiej się upominać miała, że nic im nie zdawało się stawać na zawadzie.

Blisko trzy wieki upływały od połączenia dwu narodów pod dynastją jedną. Polski obyczaj i prawa silnie oddziaływały na organizację kraju, wychodzącego z barbarzyństwa wiekowego, ze stanu pierwotnego. Działanie to jednak nie zlało dwóch państw choć je połączyło, a swobody jakie Polska przynosiła Litwie, same się przyczyniały do wyrobienia pragnień autonomii i oddzielności pewnej.

Niebezpieczeństwo od Moskwy i Tatarów, od czasów Aleksandra przekonało Litwę, iż sojusz ścisły z Polską był dla niej rękojmą ocalenia od zagłady — niemniej jednak chciano mieć wielkich książąt udzielnych i stanowić całość odrębną.

Mimo swobód zdobytych raczej obyczajem niż prawem, Litwa zawsze odmienną była od Polski, rządy w niej więcej władzy dawały panującemu, który tu był dziedzicznym nie

wybieralnym — szlachta mniej miała znaczenia, wielkie rodziny kniaziowskie przeważały w zarządzie i radzie.

Jagiellonowie czuli się tu aż do ostatniego swobodniejszymi panami niż w Polsce. Litwa też wyglądała, żyła, mówiła, obradowała inaczej. Ogląda europejska tylko w wielkich rodzinach czuć się dawała. W szlachcicu widać było niedawno klejnotem ozdobionego bajorasa.

Jak szaraczkowa barwa sukni odznaczała szlachtę litewską, tak i prostota obyczajów. Łączyły się małżeństwami dwa narody, wiązały rozlicznymi stosunkami, lecz odrębność ich była jeszcze bardzo wyrazistą. Bronili jej szczególnie magnaci, choć znaczenie swe i głos przeważny winni byli od Polski zapożyczanym prawom i obyczajowi. Dla młodego króla chwila ta wyprawy na Litwę była w życiu jego stanowczą. Po raz pierwszy czuł się sam, wyzwolony z pod czulej, troskliwej, ale ciężkiej opieki macierzyńskiej.

Teraz mógł być sobą i próbować spełnić marzenia te, które dojrzała młodość zrodziła. Wychowaniec ludzi takich jak Lismanin i Włosi, którzy go otaczali, Zygmunt August stał umysłowo na wysokości wszystkich zadań wieku.

Widział w Polsce i Litwie wiele do zrobienia, do poprawienia, do dźwignięcia. Temperament i charakter zmiękczone wychowaniem niewieściem nie czyniły go zdolnym do walki, do zdobywania praw utraconych przez poprzedników, ale w granicach swej władzy miał pole szerokie do działania.

Pomimo przywiązania do matki, które zarazem było pewną obawą i znużeniem a nałogiem dla spokoju przyjętym, Zygmunt August widział jasno, jaki nieład, jakie zgorzenie, ile zła rodziło przekupstwo, faworyci, Gamrat i Kmita.

W Polsce i w Litwie obiecywał sobie po tych latach rozstroju, świetne nowe odrodzenie.

Najszlachetniejsze, młodzieńcze popędy były w sercu jego, marzył iż uczyni dobrze wiele. Wprawdzie miękki był, leniwym nieco, rozpieszczonym, zawczasu zużytym młodością, na której rozwięzłość matka patrzyła przez szpary, ale jemu samemu znużenie wydawało się skutkiem tego, że do czynu nigdy powołanym nie był.

Opuszczając Kraków, Zygmunt August widział przed sobą najświetniejszą przyszłość, na którą już teraz mógł pracować.

Ojciec obchodził się z nim zawsze surowo, czując że go matka popsuła, a naprawić nie mając odwagi — wyzwolenie od niego dawało mu swobodę. Lecz zarówno musiał pragnąć oswobodzenia z więzów matki, na pozór nie tak ciężkich, a w istocie daleko groźniejszych. Nie mógł nie widzieć tego, że dawała mu pieniądze, kochanki, aby sama w jego miejscu krajem z faworytami rządzić mogła.

O wartości takich ludzi jak wszechmocny Gamrat, jak dumny a chciwy Kmita, w porównaniu ich do Maciejowskiego i hetmana Tarnowskiego, Zygmunt August zdrowo sądził, choć nie mógł dać tego poznać po sobie. Matka stała po stronie, dla której szacunku nie miał nikt, nawet może ona sama.

Dwa obozy przeciwne matki i ojca wiodły z sobą walkę, do której on nie należał wcale, lecz w pierwszego z nich był mocy.

Małżeństwo z Elżbietą, dzieło ojca, który w niej krew swoją braterską ukochał, znalazło Augusta obojętnym. Matka aby się zabezpieczyć, poddała mu Dżemnę, dla której miłość i namiętność przewidziała, obrachowała z góry.

Dziewczę było urocze, niewinne, rozmiłowane, a August znajdował w niej wdzięk nowy i miłość ta zdawała się na długo zabezpieczać od wszelkiej innej. Przez Dżemnę miała nim rządzić Bona.

Dotąd składało się wszystko po myśli starej królowej, która choremu Zygmuntowi wmawiała co chciała. Marsupin łamał jej szyki. Dlatego pałała taką nienawiścią ku niemu, nie domyślając się, że w samym charakterze syna znajdzie wkrótce niebezpieczniejszego nieprzyjaciela.

Najmocniej roznamiętniony król młody, nawykł był do zmiany płoczej, żadna kobieta długo utrzymać go nie mogła.

Dżemna gwałtownością przywiązania wkrótce zaczęła być mu ciężarem.

Na Elżbietę patrzył zrazu obojętnie, później z politowaniem. Ta biedna wygnanka przesładowana przez matkę, osamotniona, dla której on musiał chłód okazywać i niemal

po gardę, obudziła w nim współczucie. Była młodą i piękną, a charakterem łagodnym tak się różniła od Dżemmy, że sam kontrast z nią czynił ją ponętną.

Zniewieściał August serce miał miękkie, nowość była zawsze dla niego urokiem.

W przeciągu kilku miesięcy odpychany przez Bonę od żony, Zygmunt przywiązał się do niej potajemnie. Zresztą, chcąc się wyswobodzić z więzów matki, nie miał lepszego sposobu, mniej gwałtownego, skuteczniejszego nad to przywiązanie się do żony.

Lecz, dopóki byli w Krakowie, musiał zmyślać obojętność, lękając się narazić żonę na prześladowanie, którego rozmiary i doniosłość znał dobrze. Wiedział, że matka nie cofnie się przed najostateczniejszymi środkami. O życie nawet Elżbiety obawiać się było można.

Udawał więc chłód i wstręty, choć w chwili wyjazdu myśl połączenia się z żoną już go zajmowała. Rachował na ojca, a potem na oddalenie, gdyż w Wilnie, Bona zmuszona czuwać nad chorym mężem, czynną być nie mogła.

Wyprawując w drogę matka, która chwilowo sobie go zjednała, nakazała do siebie pisywać codziennie, do żony listy były zakazane, Bona miała ją żywić swojemi.

Na rękę było młodemu królowi rozstawać się z Włoszką, do której zmysłami tylko i nałogiem był w ostatku przywiązany. Jej wymówki, wymagania, zazdrość, nużyły go już wielce.

Matka szepnęła mu na wyjeździe, iż znajdzie sposób wyprawienia za nim Włoszki, lecz rzecz ta nie zdawała się łatwą. Bona była wystawioną na potwarze, patrzono z blizka na to, co poczyniała; na Dżemkę zwrócone też były oczy — nie spodziewał się jej August rychło.

W podróży dziwnie się uczuł swobodnym i wesołym. Świat mu się uśmiechał cały.

Chociaż podróż w początkach na Mazowsze projektowana, w Litwie nie była oznajmioną — zaledwie się o niej wieść rozeszła, natychmiast Litwini znajdujący się w Krakowie znać o niej dali do Wilna.

Tam ona radość obudziła i nadzieje. Kto mógł tylko śpieszył i wybierał się naprzeciw młodego króla, aby miejsce przy nim zdobyć, pozyskać łaski i zapewnić sobie stanowisko na przyszłość.

August jechał z wolna, gdyż musiał wymijać miejsca zapowietrzane; poprzedziły więc gońce na Litwie i panowie Radziwiłłowie, Chodkiewicz, Wirszyłłowie, Kiskowie, Pruńscy, kto mógł pobiegli ku granicy na powitanie młodego pana.

Wszystkim im wydał się wielce poważnym, nad wiek swój rozumnym, umiarkowanym i pełnym majestatu. Znajdowano go tylko nieco zamkniętym w sobie i dumnym.

Przyjazd do Wilna, choć z licznym już gronem panów, którzy się po drodze przyłączyli, nie miał żadnego charakteru uroczystego. Nie był to wjazd na W. księstwo, bo Zygmunt August rządów objąć nie miał jeszcze prawa.

Zamek dolny, chociaż naprędce przez Wirszyłła w części na przyjęcie króla przygotowany, po pożarze ostatnim smutną przedstawiał ruinę. Przez długie lata stał pustkami, otaczające go place, ogrody, budowy, wszystko było zaniedbane, a że się nigdy nie odznaczał wytwornością, po Krakowie, po włoskich budowach, jakie się tam wznosiły, robił wrażenie przykre.

Na pierwszy rzut oka Zygmunt August mimowolnie wykrzyknąć musiał, że zamek z gruntu trzeba było odnowić i przebudować, a po zdolnych robotników śłać do Krakowa. Miał odrazu pilne i niewstrętliwe zajęcie.

Tymczasem w jednym skrzydle oczyszczonem naprędce, król i dwór się pomieścili. Zygmunt August zamieszkać tu stale nie myślał, dopóki zamek nie był gotów na pomieszczenie jego i żony, ale miał do poznania Litwę, kraj cały prawie sobie nieznany.

Stare zamczyska w Trokach, w Lidzie równie były zaniedbane jak w Wilnie; mieścili się tam szczupłe załogi, a najlepsze izby nie miały nic nad ławy i stoły, nie wszędzie nawet podłogi, częściej tokowiska.

Panowie otaczający króla, zapraszali w gościnę — młody pan nie był od tego.

Zaledwie się rozpatrzywszy, począł wycieczki dokoła.

Gdy powracał do Wilna, zastawał tu zawsze oczekujących panów wojewodów z ziem odległych, którzy już przysłemu panu czołem bić śpieszyli.

Czynności nad to nie było innych, oprócz codziennych doniesień matce. Myśl króla czasem biegła ku Krakowu i Niepołomicom.

Matka w listach, które przejęte być mogły, o Dżemmie nic nie donosiła. Król dla niej tem więcej mógł ostrygnąć i spodziewał się być oswobodzonym.

Tymczasem Dudycz z żoną wyruszywszy w podróż, kosztował pierwszych osobliwego z nią pożycia przyjemności, ciężko je opłacając. Jejmość od ślubu ani słowa się nie odezwała do niego. Gdy potrzeba było wydawać rozkazy, posługiwała się Bianką.

Petrek w paradnym stroju podróżnym, na koniu wytwornie przybranym, z rzędem i siodłem świeżącymi od srebra, pozłoty i kamieni, jechał u stopni kolebki na straży, od strony po której siedziała Dżemma.

Włoszka niekiedy spoglądała na niego, przypatrywała mu się, krzywiła i w końcu wydała rozkaz, aby jej widoku nie zasłaniał, a jechał po drugiej stronie kolebki. Dudycz musiał spełnić wolę małżonki.

Na popasach i noclegach wniknąć do izby zajmowanej przez kobiety nie było mu dozwolonem. Całą jego pociechę stanowiła litościwa, wesoła, trzpiotowata choć już nie zbyt młodziuchna Bianka, która wybiegała niosąc rozkazy, a przytem pocieszała go i bawiła rozmową.

Dżemma jechała milcząca, dumna, niecierpliwiać się długością podróży, znajdując wszystko niedogodnem, a unikając nie tylko spotkania z mężem, ale nawet wspomnienia o nim.

Dudycz, gdyby był chciał, stanu rzeczy tego zmienić nie mógł, miał przeciwko sobie cały pułk kobiecy, a na jego czele, oprócz Dżemmy, starą, złośliwą, krzykliwą Włoszkę. Petrek niejedną raz ze dworem odbywał podróże, znał wszystkie ich w kraju niedogodności, ale mu one nigdy się jak teraz nie dały we znaki.

Podróż wszystkim równie wydawała się długą, a Dudyczowi musiała stać się nieznośną, gdyż tej nawet pociechy nie miał, aby swobodnie oblicze małżonki oglądać. Siedziała w głębi kolebki, najczęściej zasloną twarzyczką tak mając obwiązaną, że jej mało co lub nic widać nie było.

Gdy stawali wchodząc do izby, do której mężowi przystęp był wzbroniony. Skarżył się o to Biance, powiadając zprosta: „jużci bym nie zjadł oczyma”, Włoszka się śmiała i radziła cierpliwość.

W końcu podróży, gdy się już do stolicy zbliżali, Dudycz przeszedłszy przez rozmaite rodzaje i stopnie męczarni, dobił się aż do gniewu i pragnienia zemsty. Przeklinał piękną swą panią, która z nim obchodziła się jak ze sługą i niewolnikiem. — Czekaj-no! — mówił w duchu — przyjdzie koza do woza, naówczas ja ci za te wszystkie męczarnie moje zapłacę.

Nie wiedział tylko, kiedy do tego szczęśliwego terminu mógł się dobić.

Nie dojeżdżając do Wilna wydała rozkaz Dżemma, iż nie gdzieindziej tylko wprost do zamku zajeżdżać mają.

Nie rozumiała inaczej położenia, tylko że tu, gdzie nad Augusta nikogo wyższego nie było, gdzie on rozkazywał, ona musiała otwarcie zająć miejsce jego ulubienicy.

Wstydzić się tego nie myślała wcale; jak wprzód, tak teraz była swoim tytułem dumna.

Dudycz oparł się w początku zajeżdżaniu do zamku, chciał szukać gospody w mieście, Włoszka się pogniwała, poczęła go łajać i stanęło na tem czego żądała. Bianka wprawdzie czyniła jej uwagi, iż młody król może tu w obcym miejscu nie rad będzie tak jawnemu ukazaniu się kochanki — Dżemma nie dała jej mówić nawet.

Cały więc tabor bramą od Trok wjechał, powoli ciągnąc w mury miasta, a Dudycz po drodze już dowiedział się, że króla w Wilnie nie było, siedział pod czas w Olicie i nie wiedziano kiedy powróci.

Oznajmił o tem Biance, ona Dżemmie, ale Włoszka nie zmieniła postanowienia, hardo odpowiedziawszy, iż ją przecie zna dwór i urzędnicy młodego pana.

Zwolna przyciągnęli aż do bram zamkowych, z kądem widać było dolną budowę całą ostawioną rusztowaniami, na których mnóstwo robotników pracowało. Na jednej części dolnego zamku dach kryty, drugą murowano jeszcze, niektóre ściany tynkowano.

Gdy stanęli u bramy, powychodzili dworzanie królewscy niektórzy i służba, a naostatek podkomorzy starszy i Merło ulubiony Augusta komornik. Dudycz oznajmił im o Dżemmie, która sama się wychyliwszy z kolebki, upominała o gospodę na zamku.

Merło, znający ją dobrze, głową potrząsając przystąpił.

— Króla nie ma — rzekł — a co gorzej izb nie ma. W zamku wszystko się przerabia, ani kąta, gdzieby spocząć można.

Szepnął ciszej zaraz, że król mu na wszelki wypadek dał zlecenie, aby Dżemma przybywszy gospodą stanęła w mieście.

Gdzie? Merło nie dostał żadnego w tej mierze rozporządzenia.

Włoszka zapaliła się gniewem wielkim i rozplakała klnąc i narzekając razem, na wzór królowej Bony. Bianka musiała ją tulić, uspokajając, a Merło Dudyczowi wskazał w mieście dom dostatniego kupca, do którego się wprosić mogli, szepnąwszy mu na ucho, iż król się tą niewiastą zajmował i miał ją w opiece. Kupiec zwał się Sopoćko.

Tak tedy zawróciwszy od zamku, nazad musieli, a Dżemma sobie oczy zakrywała ze wstydu. Przez zamkową bramę wrócili do miasta i tu dopiero przy Trockiej ulicy Sopoćkę odszukali.

Kupiec, pół Rusina, pół Litwina, trochę po polsku mówiący, skrobał się po głowie, bo miał rodzinę, a dla Dżemmy kilka izb trzeba było opróżnić. Lecz dla króla i Wielkiego księcia nie godziło się odmawiać posługi.

Tu nim kobiety do wygod nawykłe i Dżemma, co się niemal za królowę miała, znośnie się rozłożyły, nim im dostarczono wszystkiego co potrzebowały — parę dni upłynęło. Dudycz na dole w małej komórcie razem z chomątami, uprzężą i siodłami, na podłodze legiwał, a o żonie tylko tyle wiedział, że mu dla niej Bianka ciągle pieniądze z kalety wyciągała. Do zamku posyłano dwa razy na dzień, bo się Dżemma niecierpliwiła, ale król nie powracał, a Merło nie wiedział wcale kiedy się go spodziewać było można.

Wielka i gorąca miłość Dżemmy, zaczynała się w rozpacz zamieniać i gniewy. Nie pojmowała tego, że o niej tak zapomniano, tak zaniedbano ją i nie przewidziano przybycia. Na przemiany Bianka to lzy jej ocierać musiała, to zburzenie i odgrażania się uśmierzać.

Chciała gonić za ukochanym do Olity, ale Merło stanowczo się temu sprzeciwił, opowiadając, że młody pan otoczony był litewskimi senatorami i musiał dawać baczość na siebie, więcby pewno niemile przyjął przybywającą.

Wszystko to w główce rozkochanej Dżemmy pomieścić się nie mogło.

Dudycz się cieszył i czekał.

Tak upłynęło długich dni dziesięć, a o królu wiadomości nie było żadnej; Merło kłamał czy prawdę mówił, zapewniał, że August już Olitę opuścił i gdzieindziej przebywał, zatem cierpliwie na niego czekać było potrzeba.

Bianka pierwsza jednego poranka, wyszedłszy na ulicę do blizkiego kościoła św. Duchy, dowiedziała się o powrocie króla i co prędzej dobrą tę wiadomość przyniosła przyjaciółce. Dżemma porwała się z łóżka, w którym większą część dnia spędzała, kazała się stroić, czesać, chciała uczynić najpiękniejszą i była pewną, że jak tylko król się o niej od Merły dowie, natychmiast pośpieszy. Chciała zaraz wszystko kazać pakować, zbierać rachując na to, że tego dnia jeszcze na zamku będzie panować.

Upłynął czas do południa, rosła niecierpliwość, nadszedł wieczór, Dżemma płakać i narzekać zaczęła, noc ciemna w końcu okryła miasto — króla nie było, a nawet żadnego posła od niego.

Bianka na zamek nie chciała się ważyć, stara Włoszka obawiała się, musiano posłać Dudycza.

Bardzo nierychło wrócił Petrek donosząc, iż król był bardzo zajęty, miał z Kijowa i Smoleńska gości, i na chwilę oddalić się nie mógł.

Merło radził cierpliwość a zaprzysięgał się, iż panu natychmiast o Dżemmie oznajmił, na co otrzymał w odpowiedzi tylko głowy skinienie.

Dla dumnej a biednej dziewczyny upokorzenia tego i zawiedzionych nadziei było za wiele, wpadła więc w takie rozdrażnienie, iż dom cały poruszyła i ledwie ją około północy ukołysano.

Następny dzień cały zszedł znowu tak samo na próżnym oczekiwaniu i już noc nadchodziła, gdy sam, w towarzystwie tylko wiernego Merły, przebrany i z twarzą okrytą nadjechał król.

Dżemma wybiegła naprzeciw niemu z wyrzutami, z płaczem, zostawiono ich samych; słychać było szlochanie, krzyki, jęki, potem gwałtowny słów potok płynący z ust Włoszki, a wkrótce potem wyszedł król zimny, bładny, zniecierpliwiony wewnątrz, zasępiiony — siadł na koń i odjechał.

Bianka, która wbiegła się dowiedzieć od przyjaciółki jak się skończyła rozmowa, znalazła ją w stanie dziwnym, rozgorzałą gniewem tłumionym, milczącą, niechcąca się przyznać do doznanego zawodu, lecz widocznie okrutnie cierpiącą.

Z początku przed przyjaciółką nawet żalić się nie śmiała, bała się zarówno urągania i litości, ale boleść ją zmogła.

— A! — zawołała, zapłakane oczy tuląc do ramienia Bianki — wszyscy oni są jednacy, królowie i chłopci, serca nie mają, kochać z nich stale nie umie żaden. Padamy ofiarami.

August, August! który mi żonę poświęcił, poprzysiągł miłość wiekiustą, przestał mnie kochać... Serce jego wystygło.

Jestem nieszczęśliwa... najnieszczęśliwsza.

Bianka usiłowała ją tem pocieszać, że król młody musiał tu wiele rzeczy poświęcić, aby się nie narazić Litwinom, nie dać powodu do plotek, któreby doszły do Krakowa do króla starego, że potrzeba było mieć cierpliwość.

Dżemma wszystkiego tego nie rozumiała, chciała zająć miejsce na zamku, a król wprost jej oświadczył, że to ani dziś, ani później nie będzie możliwym, że musi pozostać w mieście. Obiecywał zresztą postarać się o osobny dwór, w którymby ją umieścić, ale i o ten łatwo nie było, bo zamek restaurowano i robotnika było mało, a dwory książęce na mieście stały prawie wszystkie opuszczone.

Oprócz tego, według Dżemmy, młody król tak się jej okazał zmienionym, tak okrutnie chłodnym, obojętnym, iż na wspomnienie jego Włoszka w rozpacz wpadała.

Do późnej nocy musiała przy jej łóżku siedzieć Bianka, starając się ją pocieszyć. Dżemma miała jeszcze nadzieję dawną miłość wskrzesić w sercu Augusta, lecz widać już było, że zawiedziona, okrutną jakąś zemstą mu gotowała.

— Dziecko ty moje — westchnęła nad nią Bianka. — To co ciebie spotyka dzisiaj, przez tośmy przeszły wszystkie, nie w naszej mocy się pomścić, nie mamy na to siły! Jedno ci pozostało tylko, dawnej miłości wspomnienie, jeżeli ona nie powróci, wyzyskać. Zgodzić się ze swym losem i zostać bogatą panią Dudyczową.

O Dudyczu, z obrzydzeniem imię jego wymawiając, Dżemma ani słuchać nie chciała.

Biedny Petrek od stajni chodził do ciemnej komory, w której miał legowisko, wysuwał się czasem w ulicę na piwo lub miód i powracał, czekając co będzie dalej.

Chociaż mu się nie zwierzano, jak stały z królem stosunki, sam on doskonale je widział i oceniał. Cieszył go ten zwrot nad wszelkie nadzieje pomyślny.

Żona musiała przeboleć, wypłakać się, a on pojednany z nią, obiecywał sobie korzystać z łaski królewskiej, na którą rachował.

Po pierwszym burzliwym widzeniu się z królem, Dżemma się go zaraz nazajutrz spodziewała, ale się nie pokazał i nie przysłał nawet nikogo. Czekala dwa dni na niego, zjawił się znowu wieczorem, potajemnie, skarżył się że go oblegają panowie litewscy, że swobodnym nie jest itp.

Napróżno go Dżemma starała się ubłagać, ani wyrzuty, ani lzy nie pomagały. Następnego dnia długie listy do starej królowej ze skargami przygotowano, przypisując zmianę intrygom — któż wie, zabiegom może potajemnym młodej królowej. Listy potem za listami biegły do Niepołomic, opisujące życie króla.

On sam pisywał też do Bony w początku codziennie, potem zwolna coraz rzadziej.

Królowa stara, która tej podróży na Litwę obawiała się wielce, z listów Dżemmy i z pism syna wyrozumiała, że w istocie dla niej położenie to było groźnem.

August się starał widocznie z pod władzy matki wyłamać, pisał mniej, chłodniej, nie ze wszystkiego się zwierzał, nie słuchał jej jak wprzódy.

Samo podejrzenie o chęć wyzwolenia się, Bonę, która wielkie dla syna w swem przekonaniu uczyniła ofiary, wprawiała w gniew straszny!

Wielka miłość dla syna w jednej chwili mogła w jej sercu zmienić się w nienawiść ku niewdzięcznikowi.

Lecz nie chciała wierzyć jeszcze ogarniającym ją obawom. Czekala.

Z Niepołomic wyprawiony potajemnie zaufany dworzanin, przybył do Wilna podpastrywać młodego króla, rozsluchać się w tem co się tu święciło.

Wprawdzie August pokornie zawsze matce zdawał sprawę ze wszystkiego, lecz w tonie listów, w sposobie postępowania czuć było odmianę, większą niezawisłość, różnicę przekonań, której nie taił tak bardzo.

Nie dała po sobie poznać Bona co się w duszy jej działo, lecz wrzała wewnątrz gniewem po chybionych rachubach. Jeżeli syn ją miał zdradzić, przyszłość stawała się okropną. Ona! ona zepchnięta ze stanowiska, które zajmowała, Elżbieta królująca nad nią! Tego znieść nie mogła

Przyjaciele pomódz jej musieli, gotową była kraj zawichrzyć, wojnę ściągnąć wewnątrz, ale nigdy się poddać...

W Niepołomicach król chory prawie miesiąc odpoczywać musiał. Bona, Elżbieta, dwór, byli przy nim. Pomimo zerwania wszystkich związków z Krakowem, nie było prawie dnia, żeby ktoś ze służby nie zmarł nagle. Powietrze okazywało się w sąsiedztwie, w Krakowie gdzie Marsupin leżał na febrę chory, mór się szerzył z gwałtownością coraz większą.

Do wszystkich utrapień królowej, strachu o króla i siebie, walki z Elżbietą, obaw o przyszłość — Marsupin niepozbyty był dla niej jednym z najnieznośniejszych; nie tyle się go może obawiała, ile obrażoną była tem, że ją lekcewał.

Wiedziała Bona, iż się ciągle odgrażał bodaj ścigać dwór i młodą królowę, czyby mu dozwolono czy nie.

Maciejowski, o którego uszy się objęły gniewy królowej, przestrzegał Włocha na próżno aby się nie narażał. Marsupinowi szło o postawienie na swoim.

Gdy już z Niepołomic się wybierać miano do Korczyna naprzód, potem do hetmana Tarnowskiego do jego majątności, dotąd od moru wolnych — Włoch zaczął się także wybierać w ślad jechać za dworem.

Chory, bo febra go dotąd nie opuszczała, pomimo to konie i ludzi gotował do podróży, która była postanowioną. Ta tylko zaszła zmiana w przygotowaniach do niej, że niewielu swym sługom Marsupin kupił oręż lepszy, aby nie być bezbronnym, w razie napaści.

Sam on jednak w nią nie wierzył, choć biskup, Boner i posłaniec hetmana usiłowali go przekonać, iż Bona szczerzyć nie będzie życia jego.

Ażeby doniesienia Marsupina o Elżbiecie osłabić, Bona bardzo zręcznie zwróciła się do znajomego sobie Herbersteina z listami, w których dowieść usiłowała, iż to co szpiegi donosiły fałszem było wierutnym.

Herberstein wiele miał względów dla możnej pani, ale odpowiedzi jego dały Bonie do zrozumienia, że w Wiedniu i Pradze miano bardzo dokładne wiadomości o losie jaki spotkał młodą królowę. Radził więc zmianę, większą troskliwość, więcej względów dla młodej pani, a w grzecznych jego listach czuć było groźbę i niepewność przyszłości.

Wszystko to Bona przypisywała Marsupinowi. On to ją oczernił, on donosił, on pierwszy obudził podejrzenie. Nienawiścią i pragnieniem zemsty pałała niewypowiedzianem.

Odgrażała się przed Maciejowskim biskupem, iż obić każe Włocha, ale w kółku swoich powierników, groziła mu śmiercią i wołała, że tenby się jej zasłużył, ktoby ją od łotra, wroga nikczemnego wyswobodził.

Słuchali tego ludzie, do Krakowa nie było daleko.

Marsupin właśnie się miał wybierać naprzód do Bochni, potem w ślad za dworem, odprawiwszy listy do króla Ferdynanda, w których gwałtowne środki doradzał, odebranie Bonie księstw włoskich i t. p., gdy jednego wieczora, leżąc już na łóżku, wychudły Włoch ujrzał wsuwającego się, płaszczem otulonego, zgiętego człowieka, który ostrożnie oglądał się dokoła.

Z pod płaszczyka cieńki koniec mieczyka, jaki Włosi nosili, dał mu się w nieznanym domyślać ziomka. Lecz że Włosi prawie wszyscy tu do Bony obozu należeli, Marsupin ostrożny, zobaczywszy wsuwającego się bojaźliwie gościa, natychmiast z łóżka się zerwał i za pas sztylet wepchnął.

Lampka maleńka słabo izbę dużą oświecała, twarzy więc zbliżającego się nie mógł łatwo rozpoznać. Dopiero gdy podeszedłszy kroków kilka, gość kołnierza płaszcza odrzucił i stara pomarszczona jego twarz z głową łysą płomykiem lampki oświeconą została. — Marsupin poznał w nim jednego ze sług królowej Bony, starego Moncaccio, z którym lepiej był niż z innymi. Moncaccio Neapolitańczyk należał do tych, którzy z Boną tu pierwsi przybyli. Na dworze pełnił funkcje różne.

Uchodził za zaprzedanego swej pani i gotowego na wszystko. Chociaż go nigdy nie schwytano na uczynku, przypisywano różne tajemnicze a krwawe zamachy.

Człowiek był niebezpieczny, lecz dla Marsupina mniej może niż innych. Włoch miał zręczność w początkach swego pobytu oddać mu wielką przysługę. Moncaccio miał córkę zbiegłą, do której był przywiązany bardzo, Włoch pomógł do jej odszukania. Po kilkakroć zaklinał się zbir stary, że tego nigdy Marsupinowi nie zapomni, a będzie, da Bóg, odwdziżyć mu się starał.

Ta obietnica przysła teraz na myśl Włochowi, gdy niespodzianie ujrzał go przychodzącego po nocy, a wiedział o nim, iż z królową był w Niepołomicach.

Nie okazując po sobie najmniejszej trwogi, Marsupin powitał go zapytaniem: — co tu robisz?

Moncaccio nie odpowiedział, zamruczał coś, kapelusz rzucił na stół, obejrzał się dokoła pilno, pochylił ku gospodarzowi i spytał.

— Jesteśmy sami?

— Najzupełniej.

— Wy się słyszecie jutro wybieracie w drogę? — rzekł Moncaccio.

— Tak jest.

— Jeżeli do Pragi, z Bogiem — mówił dalej przybyły — jeżeli za królową i królem, signor Giovanni, wam dobrze życzę, nie jedźcie.

— Dlaczego?

— Szkoda mi was — odparł Moncaccio.

Marsupin się rozśmiał.

— Strachem mnie nie wziąć — rzekł.

Zmilczał gość patrząc na stół.

— Wiem, że się nie boisz — rzekł po chwili — ale jechać nie życzę.

Zawahał się chwilę.

— Mam dla was obowiązek wdzięczności, ostrzegam — dodał — królowej naraziliście się śmiertelnie. Ona wam nie przebaczy, życie wasze zapłacone, zabiją was.

Marsupin podparty na rękę dumiał.

— Słuchaj — dodał Moncaccio — ja wiem o wszystkim. Zrobiliście co tylko było w mocy ludzkiej uczynić, więcej nie zdołacie nic. Życie więc dacie nadaremnie.

— Ależ mój Moncaccio — odparł Marsupin — kto na moje nastawać będzie, ten swoje też narazić musi, nie wiadomo kto kogo zabije.

— Ilu was będzie? — rzekł zimno Włoch.

Marsupin nie chciał kłamać, razem z nim mogło być najwyżej pięciu.

— Gdy przeciwko wam młodych, zręcznych, niespodziewanie, w obrachowanym miejscu i czasie stanie piętnastu — żadna siła was nie obroni.

Zdradzam moją panią — dodał — ale wasza śmierć nic jej nie da oprócz tego, że jej zemstę nasyci. Na drodze w trzech miejscach na was czekają zasadzki, nie ujdiesz ich. Czyń co chcesz. Jam swoje spełnił, nie będę miał nic na sumieniu, i jeżeli się znajdę naprzeciw was, tak dobędę miecza jak i drudzy.

Marsupin pogardliwą miną odpowiedział na to.

— Jeżeli życie masz za co ważyć — dodał przybyły, biorąc za kapelusz — czyń co wola.

Chciał już powstać, gdy Marsupin rękę jego pochwycił i zatrzymał go.

— Nie są to próżne strachy, aby się mnie pozbyć? — zapytał.

— Na patrona mojego świętego Januaryusza, na krew jego żywą — odparł Moncaccio — przysięgam ci, że nietylko nie powiększam niebezpieczeństwa, ale ci oszczędził tego co już zbyt wiele, a co je znacznie czyni straszniejszym. Czyń co chcesz.

Marsupinowi znękanemu chorobą zabrakło sił, westchnął i zadumał się.

— Zostanę przynajmniej na stanowisku w Krakowie — odezwał się — aż mnie odwołają a kogo innego wyślą.

— Tak uczyni — wtrącił żywo Moncaccio — bo życie dasz daremnie. Nie uczynisz nic. Naraziłeś się tak, że gdybyś teraz królowej Izabelli synowi przyniósł koronę, a Bonie inwestytury na księstwa, jeszczeby ci nie przebaczyła.

— A! nieszczęśliwa Elżbieta moja! — zawołał w uniesieniu Marsupin — dziecko niewinne w szponach takiej harpii... Co ją czeka!

Moncaccio spuścił głowę, usta ścisnął, nie rzekł ani słowa pociechy.

— Nie zniecie — odezwał się po długim przestanku — królowej naszej. Nigdy dotąd nic się jej oprzeć nie zdołało. Panowała, panuje, rządzi, kupuje ludzi lub strachem ich łamie; na starość nie dopuści, aby jej dyktowano prawa.

— Ale król stary chory jest i życie mu obiecują niedługie — rzekł Marsupin.

— Będzie władala młodym.

— Czary są, czary! — szepnął zabobonny Włoch — nic innego.

Moncaccio uśmiechnął się tylko.

— Gdyby niczem innym nie mogła, pewnie, że i czarówki się użyć nie zawahała — odezwał się. — Astrologowie patrzą dla niej w gwiazdy, aby chwilę pomyślną wyznaczyle, doktorowie przyprawują napoje, Brancaccio zbiera złoto, dla młodych i rozpustnych ma swe dziewczęta, starego króla zmoże zawsze łzami i krzykiem; sług jej takich jak Gamrat i Kmita nie zbywa.

Ruszył ramionami nie kończąc.

— Tak — rzucił chmurno Marsupin — wszystko to waży, ale niech Bona strzeże się zemsty króla rzymskiego i cesarza. W ich mocy jest za Elżbietę odplacić, jeżeli włos z głowy jej spadnie.

Nie odpowiadając na to Moncaccio, powtórnie kapelusz ujął i ruszył się z siedzenia.

— Mężtwo wasze uwielbiać muszę — rzekł — wolałbym z pięciu zbójami naraz mieć do czynienia, niż z powietrzem, wśród którego wy siedzicie. Wbiegłem tylko do Krakowa, aby was ostrzedz, a to com tu widział strachem mnie przejęło. Naostatek — dodał mając się ku drzwiom — nie potrzebuję mówić, że idąc do was, gardło moje stawilem, dotrzymajcie mi tajemnicy.

Marsupin podał rękę smutny.

— Bądźcie spokojni — rzekł — wiecie zem przecie człowieka *sernego* nie zdradził, choć mi królowa kijmi groziła, a miałebym wydać tego co życie moje ocalił?

Znikł Moncaccio. Włoch chodził po izbie długo nim się układał na spoczynek.

Nazajutrz listy wysłał do Pragi, prosząc o nowego posła coby go zastąpił, gdyż on już wyczerpał wszelkie środki dopomożenia młodej królowej.

Pobył w Krakowie stawał się ze dniem każdym mniej możliwym, tak ludzie marli strasznie, a ratunek przypadkowy, nieumiejętny, nie mógł szzerzeniu się moru zapobiedz. Jedynym środkiem skutecznym było rozbieganie się ludności, chronienie się po lasach. Mór wprawdzie niekiedy się tym sposobem roznosił też, ale ustawał gdy mu pastwy zabrakło.

Opuustoszało znacznie miasto, wyludniło się z uczniów, pozamykano szkoły, na ratuszu, na zamku siedzieli tylko urzędnicy, a duchowieństwo zastępowało z cudowną rezygnacją poświęceniem, gdziekolwiek brakło rodziny, opieki i pomocy.

Pobożność też wzrosła, jak zwykle gdy ciężka ręka losu ludzi dotyka, którzy w nie-szczęściu dopiero wracają do Boga.

W kilka dni potem, chory jeszcze Marsupin, pożegnawszy Decyuszów na Woli i swoich kilku znajomych w Krakowie, zniknął z miasta nie opowiadając się co miał uczynić z sobą.

Niespokojna królowa Bona, która się nauczyła niedowierzać mu i lękać się człowieka, niedającego się zastraszyć niczem, gdy jej doniesiono, że Marsupin wyjechał, a nikt nie wiedział dokąd, tem większą czujność nakazała, zawsze się obawiając aby nie wtargnął znowu.

Nigdy może tak ściśle nie strzeżono młodej królowej, króla starego i biskupa Maciejowskiego, o którym Bona była przekonana, że Włochowi pomagał.

Niejedna ta troska nie dawała jej spoczywać. Król stary, około którego zdrowia chodziła z nadzwyczajną troskliwością, bo jego życie stanowiło o jej panowaniu, pomimo starań lekarzy nie miał się dobrze. Zaledwie uspokojony cokolwiek sił odzyskał, najmniejsze znużenie, frasunek, zniecierpliwienie je wyczerpywało.

Królowa, otaczając go strażą pilną, zapobiegała aby wiadomości żadne nie dochodziły do niego, tylko te, które przez nią były dopuszczone. Ale nadzoru tego nie mogła rozciągać nad Maciejowskim, z zimną krwią, bez obawy, z powagą duchownego, spełniającym swe obowiązki, a króla nieodstępującym. Tego ani pozyskać ani zastraszyć nie było można, a czytała w nim, że ją znał i że żaden krok jej nie uszedł baczności jego.

Drugą przyczyną niepokoju dla Bony był syn.

Wychowywany od dzieciństwa tak, aby matkę miłować i słuchać jej tylko się nauczył, częstokroć na przekorę ojcu, August aż do tej pory zależał od niej i szedł niewolniczo za jej wskazówkami.

Nawet po ożenieniu tryumfowała tem, iż go od żony młodej, pięknej, dobrej, mimo ojca, mimo ludzi, całego świata, potrafiła odciągnąć.

Wyjazd na Litwę obmyślany troskliwie czynił ją jednak niespokojną. Z początku listy syna były codzienne i poufne, zwolna dawała się w nich czuć pewna emancypacja z pod władzy matki, pewne zachcianki własnej woli, nieco zobojętnienia.

Drażliwa, podejrzewająca, nieufna, czytała w listach, wnioskowała z doniesień może więcej niż na pozór dozwalały, miała przecucie, że August wyswobodzić się zechce i że się ku żonie zwróci.

Obawę tę potwierdziły listy rozpaczliwe Dżemmy i Bianki, ustne opowieści posłańców z Wilna.

Odepchnięcie obojętne Włoszki, którą mu posłała królowa, obeszło ją jako symptom groźny.

Przestraszyła się wpływu panów litewskich, nowych ludzi, któż wie? może zwrotu ku Elżbiecie. Listy Bony pośpieszyły, nieokazując obawy, przypomnieć Augustowi jego zobowiązania względem matki i wszystkie ofiary jakie ona czyniła dla niego.

Oczy Bony niespokojnie odtąd poczęły się zwracać na Wilno.

Nakoniec, ostatnim niepokoju dla niej powodem była niepojęta, niezrozumiała dla niej Elżbieta. Tu wszelkie rachuby zwykle okazywały się chybnymi.

Bona rachowała na łzy, na rozpacz, na skutek zmartwienia, który powinien był sprowadzić chorobę i, któż wie, przyspieszyć rychły zgon, który jej astrologowie przepowiadali.

Tymczasem Elżbieta, jak to już Marsupin przy widzenia się z nią uważał, nietylko nie wyglądała gorzej, ale odzyskała rumieńce. Uśmiech jej był weselszy, spokój ducha niezachwiany.

Zdawała się zupełnie szczęśliwą, nie czyniła wymówek, nie uskarżała się, nie obwinała Bony, a okazując jej poszanowanie wielkie, unikała wszelkiego pozorów rozdrażnienia.

Ale właśnie ten spokój, ta zimna krew, to wesele młodej pani najmocniej Bonę rozdrażniło. Chciała aby płakała i cierpiała, a doczekać się tego nie mogła.

Elżbieta znosiła wszystko. Odbierano jej służki, ograniczała się pozostałymi, osamotniano ją, znajdowała zajęcie w samotności i żyła ze swoją Hölzelinową.

Bona byłaby rada i tę podejrzaną powiernicę usunąć, oddalić pod pozorem jakimś, oskarżała ją o fałszywe doniesienia, lecz dowodów nie było, a matka Elżbiety zawczasu zastrzegła sobie aby stara piastunka przy niej pozostała i nie mogła być odsuniętą.

Ją i Hölzelinową szpiegowano na każdym kroku; w liczbie czterech panien, które pozostawiono przy Elżbiecie, połowa była przekupioną przez Bonę i służyła jej raczej niż swej pani.

Zadne słowo, czynność, nie uszły bacności Włoszki, ale zręczna Kätchen umiała się tak urządzać, iż starą królowę dochodziło to tylko co ona chciała

Od czasu wyjazdu młodego króla, stosunki jego z żoną były zerwane. Nie pisał do niej.

Bona tem głośniejsz, na złość synowej, podnosiła to, iż do niej listy przychodziły codziennie. Ale i to nie zdawało się wielkiego na Elżbiecie czynić wrażenia.

Słuchała opowiadań królowej i zaspakajała się niemi.

Hölzelinowa zniecierpliwiona, już w Niepołomicach nalegać zaczęła na swoją panią, ażeby ona pierwsza pisała do męża i przypomniła mu się. Ze zwykłą swą chłodną krwią pozorną, Elżbieta odpowiedziała jej, że powinna czekać aż mąż pierwszy do niej sam napisze, że naówczas chętnie pośpieszy z odpowiedzią, ale jej się narzucać mu nie przystało.

Kätchen napróżno starała się jej dowieść, że to bynajmniejby jej godności nie uwłaczało, a dowiodło przywiązania — młoda królowa, w obawie aby Bony tem nie zniechęciła, oparła się.

Każdego posłańca z Wilna dopytywano o listy od Augusta, żaden z nich nie przyniósł nic do żony. Ale i do matki posły się stały rzadszemi.

Jak skoro król cokolwiek się uczuł silniejszym, Bona, której sąsiedztwo Krakowa było niedogodnym, przyspieszyła wyjazd do Korczyna. Tu, nie zapowiadano jak długo się miano zatrzymać, a o dalszych planach podróży głucho było.

Jednego dnia ruszyły się tabory królewskie, przodem niektóre, inne wraz z kolebkami, które wiozły Zygmunta, Bonę i Elżbietę.

Młoda pani jechała z Hölzelinówną, ze swoim bardzo szczupłym dworem i służbą, tuż za starym, który się pilno o tę — jak ją nazywał — córkę dowiadywał.

Podróż bardzo powolna, naprzód obmyślana tak aby się nigdzie z powietrzem nie spotykać, a miejsca zarażone, jeżeli ominąć ich nie było podobna, przejeżdżać bez zatrzymywania się, szła nieznośnie długo, a nie zawsze wygodnie. Rzadko gdzie się rozłożyć było można i pomieścić bez ścisku. Elżbieta zносиła to z dziecinną niemal wesołością niedoświadczonej, którą wszystko bawiło — sam nawet czasem niedostatek czegoś i pozbawienie tego, do czego była nawykłą.

Piękniejsze dni jesienne, ostatnie kwiatki, blade słońca promyki, widoki osad, zamków, dworów, spotykanych ludzi, rycerstwa, duchownych, budziły jej ciekawość i nie dawały uczuć znużenia.

Wszystko to nieznośnem było dla Bony, która jechała niespokojna, gniewna, a widmo Marsupina, nagle znikłego, prześladowało ją wszędzie.

Obawiała się spotkać go na każdym noclegu, widziała w każdym spotykanym przejeżdżającym, dopytywała swój dwór, zalecała baczność. Tajemnicze nagłe usunięcie się Włocha, którego upor znała, napełniało ją strachem.

W Nowym Korczynie pobyt nie był długi. Hetman Tarnowski zapraszał króla do jednej ze swych majątności, w której spokojnie i bezpiecznie mógł przebyć czas jakiś. Zygmunt rad był przyjąć ofiarę, ale Bona niecierpiała, obawiała się hetmana. Był to wróg Kmity, nieprzyjaciel Gamrata, sprzymierzeniec Maciejowskiego, jawny królowej starej antagonistą, mąż wielkiego i niepodległego ducha, jeden z tych niewielu bardzo, których Włoszka ani złamać, ani oszukać, ani ugłaskać nie mogła.

Piastując najwyższą godność hetmańską, Tarnowski nie miał już nic do zdobycia, ogromne posiadłości na swój czas czyniły go jednym z najbogatszych magnatów nietylko w Polsce, ale na cywilizowanym świecie. W XVI. wieku pięćdziesiąt tysięcy czerwonych złotych dochodu, przy buławie hetmańskiej i wielkim imieniu, stanowiły potęgę ogromną.

Bona rozporządzała wielkimi skarbami jak on, ale daleko od niego zależniejszą była, a tylko przebiegłość jej, intrygi, nieprzebieranie w środkach czyniły ją niebezpieczną.

Kmita, którym się ona posługiwała przeciwko Tarnowskiemu, wróg jego ogłoszony, przy całym wysiłku do walki z hetmanem, nie dorósł do jego powagi i znaczenia.

Tarnowski obchodził się z nim niemal lekceważąco, nie wyzywając nigdy, ale tam, gdzie starcie było nieuchronne, utrzymując wyższość swoją. Oba oni w oczach kraju, który ich znał, powagą i zacnością mierzyć się nie mogli i nie stali na równi. Kmicie zarzucano gwałty, szaleństwa, wybryki, jego bandę złoczyńców, jakimi się posługiwał, gdy hetmanowi nigdy, nikt nic nie mógł zadać, coby sławę jego zaćmić zdołało.

Zwycięzca w tylu bojach, był czystym i niepokalanym i cnotę swą nosił wysoko, nie lękając się nawet potwarzy, która do niego przystać nie mogła.

Nie było powodu odrzucenia zaprosin Tarnowskiego, które, choć Bonie były niemiłe, przyjęte zostały.

Dwór przeniósł się do spokojnej osady, przygotowanej naprędce na jego przyjęcie. Pobudowano tu szopy, wzniesiono nowe dwory, a hetman z gościnnością staropolską przyjmował pana, nie dając mu nic pożądać, bo życzenia były przewidziane.

Wiejskie to było schronienie, ale nic nie brakło i w porównaniu z Niepołomicami, wygodniejsze od nich. Król je upodobał sobie. Dokoła nigdzie o strasznym morze słyhać nie było i z Krakowa tylko zawsze złe przychodziły wieści, tak że o powrocie do niego prędkim marzyć nawet nie było podobna.

Elżbieta znajdowała się tu, jak wszędzie, szczęśliwa ze wszystkiego i cierpliwą na to co ją spotykało.

Bona przeciwnie coraz objawiała większy niepokój, z jednej strony o zdrowie i życie męża, z drugiej o syna. August pisywał rządziem.

Nie wchodziło w plan Bony, aby synowi Litwę król oddał do rządów; chciała go mieć u boku swojego, pod bezpośrednim wpływem.

Tymczasem pobyt w Wilnie, zbliżenie się do panów tutejszych, podbudziło nadzwyczaj dawne ich wymagania, aby Zygmunt im syna dał na W. księstwo.

Wszyscy posłańcy ztamąd przybywający przynosili listy z naleganiami, z pochwałami dla młodego pana, z prośbami o niego.

Wiedziano już w Polsce, że na przyszłym sejmie, którego się Litwa domagała dla spraw pilnych, jednogłośnie wszyscy będą o Augusta prosili.

Aby zapobiedz temu, by Zygmunt skłonić się nie dał do zadośćuczynienia prośbom, Bona zawczasu starała się mężowi dowieść, że władzę się dzielić nie powinien. Chciała mieć syna przy nim, na oku, znajdowała go młodym i niedoświadczonym.

Król, który unikał sporów, milczał.

Im mocniej przekonywała się Bona z doniesień, które jej słano, że August niezupełnie szedł za jej wolą, tem więcej nalegała na męża, aby dopóki żyw nie puszczał z rąk wodzów.

Ze wszystkich na dworze osób, znoszących cierpliwie tę wędrówkę po kraju dla zabezpieczenia się od moru, Bona najmniej umiała z nią się pogodzić i poddać konieczności.

Wyrzekała i niecierpliwiła się, co nie pomagało wcale. Brakło jej kogoś i czegoś, coby ją zająć mogło żywiej.

Męczennica, ofiara, królowa Elżbieta, była nieczułą, milczącą — August, którego rada chciała napowrót sprowadzić, nie słuchał jej i znajdował się na Litwie swobodniejszym.

Z polecenia Bony, aby dokuczyć synowej, podszeptowano Hölzelinownie o tem, iż wydana za męża Dżemma, kochanka Augusta, pojechała do Wilna. Sądzone że ona o tem oznajmi swej pani, ale piastunka zmilczała, a Elżbieta, gdyby jej o tem doniesiono nawet, zbyłaby uśmiechem obojętnym wiadomość.

Ona żyła ostatnimi słowy męża i tą błogą nadzieją, jaką one jej przyniosły. Kochała go i wierzyła mu.

Całe jego postępowanie tłómaczyło się obawą matki tak dobrze, iż ją zupełnie uspokajało.

Naostatek po długim oczekiwaniu, jeden z posłańców przywiózł list od męża do młodej królowej.

Był-li on z rozkazu, za pozwoleniem, czy mimo wiedzy Bony pisany, nie umiała dociec Elżbieta, lecz miarkując z tego jak Bona o nim wieść przyjęła, stanowczo musiał jej być niemiłym.

Królowa młoda rozpromieniona, nosiła go na piersiach, nie roztawała się z nim i natychmiast zaczęła myśleć o odpowiedzi.

Było to dla niej zadanie trudne. Jak w liście pogodzić czułość, którą chciała wyrazić w nim, a nie obudzić w Bonie podejrzeń? (bo ta nieochybnie czytać go miała — szedł przez jej posłów do Wilna).

Hölzelinowna nalegała na wyrażenia jak najczulsze, na opis szczegółowy życia, jakie wiodła królowa, tęskniąca za mężem. Elżbieta potrząsała główką, milczała, a gdy list był gotowym i odczytała go piastunce, wydał się jej zimnym; Elżbieta nic w nim zmienić już nie chciała, nie mogła.

Szepnęła tylko Kätchen swej, że Bona czytać go będzie, że się przed nią ze zbytnią czułością zdradzać nie trzeba.

Kätchen była przeciwnego zdania zawsze. Ona, jak Marsupin, radziła śmielsze postępowanie, nie tyle uległości i pokory, a żadnej obawy.

— Król rzymski ma w ręku losy Izabelli, córki Bony, ona wie o tem dobrze! Macie w niej najlepszego zakładnika i nie się wam stać nie może.

Lecz nawet przed tą piastunką nie śmiała królowa wydać się z tem, że liczyła więcej na męża teraz niż na ojca, na miłość, którą zdawało się jej że zdobyła, niż na łaskę jakąś.

Hölzelinowna próżno listu wyprawienie zwlec chciała, wyszedł on takim jakim go obmyśliła Elżbieta i brzmiał jak następuje:

„Lubo powinnam mieć nadzieję, że się wkrótce z sobą zjedziemy, ponieważ czas mi się dłuższym daleko wydaje niżbym chciała, postanowiłam tym listem jeszcze gonąć za W. K. Mością. Gdy nie mogę ręki podać, ani z Nim ustnie rozmawiać, niechże nieobecna choć listem się przypomnę.

Niech W. K. Mość to o swej wiernej małżonce i słudze wiedzieć raczy, iż niczego tak nie pragnę, jak żebyś mnie W. K. Mość w pamięci swej zachować raczył i szczerze z duszy kochającą, nawzajem miłował. Niech Pan Bóg zachowa W. K. Mość w dobrem zdrowiu i zsyła nań pomyślność wszelką, a mnie jak najprędzej z W. K. Mością, królem, panem i małżonkiem moim najmilejszym połączy”¹.

List ten Hölzelinówna znajdowała za słabym, za krótkim, mówiącym za mało, nie bacząc na to, że miał być otwartym i czytany, że w nim szukać miano pozorów do nowego ucisku.

Elżbieta czuła, że więcej napisać się jej nie godziło, a że mąż zrozumie ją.

Naówczas już, gdy go do Wilna wysyłano, młoda królowa po pobyciu na wsi u Tarnowskiego, potem w Piotrkowie, znajdowała się z Zygmuntem Starym w Warszawie. Była wiosna, długi czas upłynął od wyjazdu Augusta. Sejm dla Litwy zapowiadano w tym roku wkrótce, a August miał przybyć z panami litewskimi do Brześcia.

Wszystkiemu temu Bona, przy całej swej zabiegliwości, zapobiedz nie umiała. Zwlekała mając nadzieję, że coś zjazdowi przeszkodzi, ale nadzieje wszelkie ją zawodziły.

Zygmunt Stary, listami króla Ferdynanda i naleganiami Maciejowskiego pokonany, mimo odradzań Bony, postanowił zawczasu iż Elżbieta się z mężem połączy i pojedzie z nim do Wilna.

Otwarcie Bona się nawet sprzeciwić temu nie mogła. List Herbersteina dawał jej do myślenia, trwożyła się zarówno o córkę jak o zagrożone neapolitańskie dobra swoje.

Cała jej polityka polegała na odkładaniu, na zwłokach, na wynajdywaniu pozorów w stanie zdrowia króla, w pogłoskach o powietrzu, które wszędzie groźniejszym się stawało, gdzie było wielkie zbiegowisko ludzi. W Brześciu właśnie sejm ten miał się zgromadzić ze wszech stron.

Lecz mór srogi naostatek i w Krakowie ustawać począł, mniej o nim słyhać było, a Litwa nalegała mocno.

Postanowiono więc w czerwcu z Mazowsza się udać na granicę do Brześcia, gdzie już przygotowania czynić począł na pomieszczenie dworu.

August obiecywał przybyć nieochybnie.

Elżbieta wyglądała przyjazdu jego jak wybawienia z niewoli, ale niemniej niespokojnie czekała na niego Bona.

Miał jej on powrócić tak poddanym i posłusznym jak był, czy zmienionym i zbuntowanym? Ostatnie listy kazały się tego domyślać, a przynajmniej ciężkiego przejścia nimby wyrwywający się niewolnik znowu został w kajdany zakuty.

Ze wszystkiego miarkując, co jej donoszono, królowa nie rachowała już na Dżemmę. Na dworze swym miała ją czem zastąpić.

Oprócz tego liczyła na znaną sobie rozrzutność syna a skąpstwo ojca, gdy szło o niego. Musiał potrzebować posiłków, które matka była dać gotową, nawzajem żądając za nie powrotu do dawnej uległości.

— Hölzelin, duszo moja! — wołała, dni licząc młoda królowa — w czerwcu przybywa! Dwa księżyce nowe się zmieniają, a my go zobaczymy!

Kätchen z jakąś nieufnością i niedowierzaniem całowała ją po rękach.

— Królowo moja — szeptała — bodaj lepszym wrócił niż odjechał.

Dwuznaczny uśmiezek Elżbiety i milczenie jej dla piastunki były zagadką.

Losy nieszczęśliwego Dudycza i pięknej jego małżonki, nie mogą nam być obojętne. Dżemma spodziewała się zawsze powrotu króla do dawnej miłości, roiała, że zostanie na zamek wprowadzoną, oczekiwała codzień naglej zmiany szczęśliwej.

Ale nadzieje te okrutnie zawiedzione zostały.

Gdy znowu przez dni kilka nie ukazał się król na Trockiej ulicy, a Dżemma sobie wytłómaczyć nie mogła tego zaniedbania, choć Bianka usiłowała ją tem pocieszać, iż miał gości dostojnych i zajęty był bardzo — zniecierpliwiona już chciała biedz na zamek, i Bianka obawiając się porywczosci jej, musiała sama ofiarować się w zastępstwie.

Na zamek dostać się było niełatwo. Jedna jego część nieprzystępną się stała, bo koło niej pracowano, w drugiej ciasno było od natłoku dworu i urzędników. Ale Włoszka była

¹Przeddziecki, *Jagiellonki*. [przypis autorski]

rozważną, zręczną i ostrożną. Potrafiła niezbyt na siebie oczy ściągnąć dostać się do Merły, ulubieńca Augusta.

— Mój miły panie — zawołała zobaczywszy go nadchodzącego — radź coś na to, aby król jegomość tak okrutnym nie był dla biednej Dżemmy. Ona oszaleje z rozpaczu.

— A cóż ja na to radzić mogę — odparł Merło. — Król nasz w Wilnie, to nie ten co był w Krakowie. Tu się on musi na wsze strony oglądać, bo zewsząd na niego patrzy. Dobre jest miłowanie, ale całego życia oddać mu nie można.

— Niechże o niej nie zapomina! Litość mieć powinien! — zawołała Bianka.

— A ona też nad nim — rzekł Merło. — Królowi ona zawsze miłą, ale teraz gdy męża ma...

— Męża? — rozśmiała się Włoszka. — Aleć to stajenny nie mąż. On na próg do niej wejść nie śmie!

— O to mniejsza — dodał dworzanin, który z przyjemnością z piękną jeszcze, choć przywidłą Bianką gawędził. — Król się wszakże opamiętał, że żonę wziął i myśli o niej.

— Król? a w Krakowie ani znać jej nie chciał! — odparła Włoszka.

— Co innego było w Krakowie — począł poufnie Merło. — To pewna, że teraz do niej nabrał serca. W Krakowie obawiał się matki, a tu my nikogo się nie lękamy.

— Zapomnieliście, że królowa stara długie ręce ma — rzekła Bianka.

— Na Litwę przecie niemi sięgnąć będzie trudno — odparł Merło — a jeżeli królowa matka syna kocha, to mu żony odbierać nie zechce, gdy się przekona, że się do niej przywiązał.

Śmiać się poczęła Włoszka.

— Przywiązał się! teraz, nie widząc jej! Co wy prawicie, jakbyście ze mnie żartowali.

— Mówię prawdę — począł Merło — i mam na to dowody. Powtarzam wam, że w Krakowie co innego było, a tu się inaczej święci. Najlepszy dowód, że król o niczem nie myśli, tylko o tem aby na zamku jak najprędzej izby dla swej pani godne jej urządził. Śpieszą robotnicy jak mogą, a on sam się niemal codziennie dowiaduje. Sprowadza kobierce, opony, malarzy i pilno się stara aby gniazdo usłał piękne i miękkie.

Chcecie widzieć? — dodał Merło — poprowadzić was mogę. Komnaty już mają przeznaczenia.

Chodźcie.

To mówiąc, zdziwioną i smutną Biankę wprowadził do wnętrza dolnego zamku, gdzie w istocie ludzi dużo się krzątało.

Jedni zewnątrz wygładzali ściany, drudzy w środku układali podłogi, wstawiali okna, dopasowywali drzwi, malowali i przybijali.

Merło pokazał jej naprzód pokoje dla króla przeznaczone, potem wspólne, około sypialni przedzielającej je rozłożone, naostatek dla fraucymeru, dworu, sług i dla pani. Ostatnie były ozdobniejsze, jasne i wesołe, jakby młodości królowej odpowiadać chciały świeżością swoją. Pod oknami sadzono drzewka i kwiaty.

Merło tłómaczył jej przeznaczenie każdej komnaty i przeprowadziwszy tak milczącą przez cały szereg sal i izb, które pośpiesznie kończono, a część ich już tak jak gotową była na przyjęcie — dodał po cichu.

— Mnie się widzi żeśmy się wszyscy mylili, a biedna Dżemma najbardziej, gdy tak na królewską miłość rachowała. Wiedział on co czynił!

Teraz mu tu na Litwie nie przystało, żonę rzuciwszy, kochankami się chwalić, bo starzy panowieby mu to bardzo za złe mieli. Tu obyczaj surowszy.

A król też sam dla żony wcale nie jest tak usposobiony jak się nam zdawało. Bodaj obojętność dla niej udawał tylko, aby nie narażać na niebezpieczeństwo, na prześladowanie.

Bianka słuchała uszom nie dowierzając.

Merło się jej do ucha nachylił.

— Król z żoną swą ma pewnie potajemne stosunki i jest w porozumieniu. Nie wiem ja nic, bo i przedemną się z tem tai, ale domyślam się na pewno.

Mówię wam dlatego o tem, że mi Dżemmy żal. Niech się darmo nie uwodzi. Co niemożliwe, to niemożliwe. Król ci ją wyposaży i dopomoże im do gospodarstwa, ale dawna miłość nie powróci.

Włoszka tak zdumiona jeszcze była i przerażona tem co jej Merło zwierzał, że się w początku słowa odezwać nie mogła.

— Co się z moją biedną przyjaciółką stanie — rzekła wreszcie — nie wiem zaprawdę. Ona kocha, może dziś gwałtowniej niż kiedy, ale o jej los nikt się oprócz mnie nie zafrasuje. Taka nasza dola, bo my wam tylko służymy za igraszkę.

Z Dżemną król uczyni co chce, ale co będzie z matką?

Myslicie że Bona zniesie połączenie się małżeństwa, którego nie chciała i poprzysięgła je rozłączyć. Nie zapominajcie, że dopóki król stary żyje, ona tu wszechmogąca.

Kochała syna bardzo, prawda — dodała Bianka — ale gdy się pogniewa i nienawidzić zaczyna, choćby dziecku własnemu zdrady nie przebaczy.

Merło wesa pokręcał.

— Nie już my mieliśmy być wiecznie w niewoli u niej? — rzekł po cichu.

— Młody król — przerwała Włoszka — rachuje może nadto na miłość matki, sądząc że ona mu dla niej przebaczy wszystko, ale...

Bianka nie kończąc, po włosku, ruchami rąk i twarzy starała się pokazać Merle, iż Bona raz rozjątrzona będzie nieubłagana.

— Ale my od niej ucieczmy na Litwę — śmiejąc się rzekł dworzanin. — Co ona nam tu robi?

Ironicznie uśmiechnęła się Bianka.

— Zobaczycie — rzekła. — Co robi, ja nie przepowiem, lecz że nie przebaczy ani synowi, tego jestem pewna.

I zatrzymawszy się chwilę, szepnęła zamyślona.

— Ma więc z żoną potajemne stosunki?

— Ale, ja tego nie mówię — rzekł zmieszany nieco Merło. — Domyślam się, nie wiem nic. Patrzę że dla żony obmyśla wszystko, słucham że o niej tylko codzień mówi, widziałem że wizerunek jej przywiózł z sobą i przygląda mu się codzień... jakże nie mam posądzać że ją kocha?

Bianka, która do serca brała sprawę swej przyjaciółki, stanęła słuchając z załamanemi rękami, i łzy się jej w oczach zakręciły.

W piersiach jej zawrzał gniew, może obudzony tem, że sobie własny los przypomniwała.

— A zatem — odezwała się po chwili, wychodząc z zamku na podwórze ku miastu — nie mam ja tu co robić, a teraz myśleć tylko muszę jak smutną prawdę powiedzieć Dżemnie, która się jej ani domyśla, ani przeczuwa.

Bądźcie zdrowi — dodała żegnając wymuszonym uśmiechem Merłę — muszę pośpieszać do tej biedaczki

Przez całą drogę myślała w istocie posłana z czem powróci do domu. Odrazu wszelką odebrać nadzieję Dżemnie nie chciała.

Skłamała więc na pytania natarczywe odpowiadając, że Merło był zajęty, że na zamku nieład wielki panował, bo pośpiesznie odnawiano mieszkalne komnaty, i z tego powodu nic się prawie dowiedzieć nie mogła.

Dżemma chciała już lecieć sama, ale ją towarzyszka powstrzymać zdołała. Nie przeciwiała się gdy zrozpaczona i zniecierpliwiona, znowu króla się spodziewać zaczęła i czekała na niego.

Lecz dzień ten i następny upłynął, a król nie dał znaku życia. Zniecierpliwienie i gniew rosły z każdą chwilą.

Trzeciego dnia już utaić nie było można, iż król znowu na czas dłuższy wyjechał do Olity, żadnych nie wydawszy rozkazów względem pobytu i pomieszczenia Włoszki.

Widząc ją podrażnioną i oszalałą, Bianka naostatek postanowiła nie tać dłużej i nie dać się jej próżną uwodzić nadzieją. Wieczorem przysiadła się do jej łóżka i poczynszy od narzekania na niestałe serca mężczyzn, w końcu wyjawiała co mówił Merło.

Domysły jego w ustach Bianki przybrały barwę inną; Włoszka zaręczała, że była pewną stosunków potajemnych króla z żoną.

Wrażenie, jakie te smutne wieści sprawiły na Dżemnie, było niezmiernie gwałtowne, krzyki jej i łkania całą kamienicę rozbudziły, ukoić nie było podobna przywiedzioną do szaleństwa.

Nad ranem już Dżemma poprzysięgała zemstę królowi i szukała środków jakimi by ją na nim i na żonie jego wyrzucić mogła.

Rachowała na Bonę, będąc pewną, że ona we własnym interesie sprawę jej poślubi. Sama niewiedząc co czynić, to się zrywała jechać, goniąc Bonę do Piotrkowa lub Warszawy, to namyśliwszy się potem, gońca wyprawić do niej.

Ale kogo? List nie mógł wypowiedzieć wszystkiego. Dudycz, który jej przyszedł na myśl, nie był zdatny do sprawienia poselstwa, zaczęła prosić o to Bianki.

Włoszka sama jedna obawiała się podróżyć.

Cały dzień następny strawiły na naradach, do których stara Włoszka też wezwana została. Ale, ani ona, ani Bianka nie chciały się puścić w tę podróż i narazić na pierwszy wybuch gniewu starej królowej.

Stanęło więc na tem, iż Dudycz z listem miał jechać.

Bianka poszła mu oznajmić o tem, nie rozszerzając się nad treścią listów, które miał do rąk oddać królowej.

Rozkaz pani swej, posłuszny dotąd Petrek, przyjął zimno.

— Nie pojedę — rzekł krótko. — Dosyć już wam zadarmo się wysługuję, żebym miał stare kości tłuc po drogach dla jejmościny fantazyi. Niechaj śle kogo chce, ja się nie ruszę.

Niespodziany opór, którego Bianka przełamać nie mogła, zdziwił Dżemnę — pierwszy raz śmiał się jej niewolnik przeciwieć.

Lecz teraz, nawet jego oszczędzać było potrzeba, bo gdyby i on opuścił?

Po namyśle Włoszka go przywołać kazała. Ten dowód łaski jeszcze go dotąd nie spotkał. Dudycz poszedł się ustroić, wasy posmarował i poważnym krokiem wszedł do pokoju żony. Dżemna musiała udawać łagodną, ale nie mogła wesołej.

— Pierwszy raz mam prośbę do was — rzekła — a i tej zadość uczynić odmawiacie.

— Bo mi już ciężko dźwigać to jarzmo — rzekł Dudycz. — Jam oprócz rozkazów, dobrego słowa od was nie słyszał.

Dżemna spojrziała na niego i wzdrgnęła się. Wydał się jej okropnym, pomyślała że to był mąż, pan, i lży się jej z oczu puściły.

— To czego po was wymagam — odezwała się — nie dla mnie samej potrzebne. Jest to pilny interes królowej matki, która wam wdzięczną będzie. Dlatego, skarbiąc dla was jej łaskę, chciałam abyś waćpan sam pośpieszył.

Niewymowny Dudycz, z oczyma spuszczone, strzepił machinalnie pióro od kapelusza, który trzymał w ręku.

— Pojedziecie? — zapytała Dżemna łagodnie.

— Ten raz, cóż robić! — odparł Petrek — choć przyznam się, że i dla królowej nawet, ochoty nie mam. Koń ciągnie — dodał — ale mu też obroku dać potrzeba, a jam go nie widział jeszcze.

Dwuznacznie się uśmiechnęła Włoszka.

— Zdaje mi się — rzekła — że obrok i za mnie i za siebie da królowa.

Jedźcie tylko śpieszno, sprawcie się dobrze, a będą was pytać, potwierdźcie to co królowa w liście moim znajdzie.

Bianka podjęła się na wpół wtajemniczyć Dudycza, który się powoli udobruchał.

Tak w końcu, po naradach, pisaniu i wyborach, które się parę dni przeciągnęły, Dudycz wyruszył, zostawiwszy ludzi żonie, samowtór z jednym pacholikiem.

Jak przebył Litwę do granicy, jak się potem rozpytywać musiał gdzie królowej starej szukać, bo mu o niej coraz inaczej mówiono i jedni kazali do Piotrkowa, drudzy do Warszawy jechać, tego opowiadać nie potrzebujemy.

Miał czas Dudycz o sobie i swem położeniu rozmyślać, stękać i wzdychać na ciężką pańszczyzną jaką dla pięknych oczu swej pani odbywał. Królestwo były naówczas w Mazowieckim grodzie nad Wisłą, z kądem do Brześcia na sejm litewski bliżej być miało. Gród ten nieznanemu Dudyczowi, opasany lasami dookoła, na małym wzgórzu nad samą Wisłą, ciasno murami opasany, po Krakowie mu się nie wydał zbyt okazałym, a i Wilno przy nim nie traciło. Zameczek stary, budowany i przebudowywany składał się z murów polepionych razem i niewiele obiecujących. W mieście gospody nielatwo wyszukać było.

Petrkowi, który zły przyjechał i wszystko mu kwaśno smakowało, nawet wymowa mazurska śmieszna, a jak on powiadał, chłopską się wydała.

Zmuszony niebardzo się wydawać ze swoim przyjazdem i celem podróży, Dudycz strawił dzień niemal na rozpatrywaniu się, nim kogoś zaufanego ze dworu Bony natrafił,

któremu się opowiedział, iż z panią potajemnie widzieć się potrzebował, bo przywoził ważne wiadomości.

Zaledwie zmierzchno, gdy do gospody jego podle Panny Maryi, nieopodal zamku, bo tam wszystko jeszcze było na kupie, przyszedł Włoch, aby go zaprowadzić do Bony.

Posadzono go naprzód w ciasnej antykamerze, gdzie skrzyń i sepetów podróжных pełno było, listy mu odebrawszy. Upłynęło sporo czasu nim je odczytano i samego Dudycza przyprowadzono do królowej, za której krzesłem stała jedna tylko owa mniszka Maryna, z jaszczurczemi oczyma, towarzysząca pani wówczas, gdy nikogo nie dopuszczano więcej ze dworu.

Na stole zobaczył Petrek poszarpane listy, które przywiózł, a Bona siedziała z twarzą jakby obrzękłą, pomarszczoną, obwisłą, tak straszna jak jej sobie nie przypominał Dudycz.

Nim się zbliżył, zdawała się go piorunować oczyma, i krzyknęła ręką potrząsając listy.

— Coś mi to przywiózł? prawdali to? Nie może być, Dżemma oszalała! Cóż się tam w Wilnie dzieje?

Petrek zimno, ale ze szczegółami opowiadać zaczął, jak się napróżno do króla dobijali, który tak dobrze jak znać ich nie chciał.

Potwierdził i to, że zamek dla młodej królowej pośpiesznie przygotowywano, a co się tyczy podejrzeń, iż August potajemnie znosił się z żoną, nie umiał powiedzieć nic.

Bonie wiadomość ta tak była nieprzyjemną, iż niebardzo jej wierzyć chciała. Odzyskać straconą władzę nad chorym mężem było jej łatwo, ale nad synem, który się raz z rąk wyrwał, wiedziała, iż się stać może niepodobnem. Znała jego słabość, serce miękkie i przeczuwała, że tak samo żona go opanuje, jak wprzódy ona nim władała.

Odstępstwo syna wprawiało ją w rozpacz. Przypisywała je niezręczności Dżemmy, głupocie Bianki i na wszystkich wyrzekać zaczęła, łając ich i grożąc.

Dudycz niewiele słowami uniewinniać się starał.

Po krótkiej rozmowie, gdyż królowa nadto była rozgniewaną aby ją prowadzić długo, Dudycza odprawiono do jutra.

W przedsienu czatujące pochwytyły go panny dworskie Bony i zaprowadziły do siebie, domagając się, aby im o żonie swej i Biance opowiadał. Ale Dudycz ostrożnym był i mało co się od niego dowiedziały; z humoru tylko jego i królowej domyślać się mogły, iż zaszło coś niespodziewanego i niepożądanego.

Dudycz nie mogąc na króla, narzekał na „boćwinę“ litewską, jak on ją zwał, na obyczaj dziki, na wszystko.

Drugiego dnia o zmroku zaprowadzono go do królowej, która już była nieco ostygła, ale rozczytawszy się w listach i rozmyśliwszy, doniesienie Dżemmy wzięła do serca. Nie wątpiła już o zdradzie syna, o podstępach Elżbiety, o tajemnych stosunkach.

Nienawiść jej ku synowej spotęgowała się jeszcze obrażoną miłością własną, iż ją śmiało i potrafiło podejść i oszukać. Odgrażała się w duchu zemstą srogą.

Jedyną pociechą było, że astrolog jej ciągle w gwiazdy patrząc, stanowczo młodej pani nie obiecywał długiego życia.

Ale i krótki tryumf odniesiony nad nią, był nieznośnym.

Serce Augusta straciła, a czy je odzyskać mogła, było wątpliwem. Myślała już w miejsce Dżemmy wyprawić do Wilna inne dziewczę młodziuchne, urody wielkiej, na które niegdy król rzucił był okiem, lecz niedoświadczone dziecko samo jedno nic nie mogło sprawić.

Ostro nakazała Bona Dudyczowi, aby się z żoną z Wilna nie ruszał i starał dostać koniecznie do króla, a do Dżemmy napisać poleciła, aby jej donosiła o wszystkim i utracone względy (własną winą) starała odzyskać.

Poselstwo to w ogóle bardzo dla Bony pożądane, dla królowej Elżbiety groźne, Dudyczowi nie przyniosło nic a nic. Bona mu ani dała ani obiecała od siebie nagrody za służbę, zburczała i odprawiała nazad do Wilna.

Petrek nie śmiejąc w Warszawie gościć długo i nie mając też co poczynić, niebawem też wyruszył z powrotem, niebardzo śpiesząc, bo nic się dobrego w Wilnie zastać nie spodziewał.

W czasie tej jego podróży, Włoszka wysławszy zażalenie do królowej, nie zaniedbywała mimo to kołatać do króla, ujmować Merłę przez Biankę, którą on mile widywał, i czatować na Augusta, rzadko i na krótko pokazującego się w Wilnie dla rozpatrzenia

w robotach zamkowych, tak że często, gdy Dżemma się dowiedziała iż przybył, i śłała do niego, on już do Trok lub do Lidy wyruszył.

O zobojętnieniu króla wątpić już nie było podobna, nietylko ostygł zupełnie, ale nawet zapominał, że coś dla niej uczynić był powinien.

Merło się przysięgał, iż panu przypominał Dżemkę, ale za każdym razem król milczeniem i spojrzeniem znaczącem go zbywał.

Męczyła się namiętna Włoszka, płakała, chorowała, wymyślała rozmaite sposoby zbliżenia się, których wykonać nie mogła, naostatek śmiertelnie nudzić się zaczęła.

Był wówczas na dworze Augusta między innymi Włochami jeden, który się zwał Testa, a dano mu od jego obowiązków przydomek *il Cavalcatore*, bo konie królewskie ujeżdżał. Mężczyzna był urody i postawy bardzo pięknej, młody jeszcze, wesół, a że łaski u pana miał, butny i śmiały.

Raz natrafiwszy na Biankę gdy z Merłą rozmawiała, rad był, że Włoszkę znalazł i na-
zajutrz po wyjeździe Dudycza do niej się stawił.

Bianka, która go przyjąć nie miała gdzie, choć rada mu była, zaprowadziła do Dżemmy. Tę Włoch zobaczywszy, łatwo się domyśleć jaką dla niej miłością rozgorzał.

Dumna pani, choć jej to pochlebiało, w początkach go bardzo surowo przyjmowała, nie dając przystępu do siebie, lecz Włoch był zręczny, pochlebny, znał kobiety i wcale się tem nie zraził.

Oprócz innych talentów Testa śpiewał choć nie uczenie ale przyjemnie wesołe piosenki ludowe.

Nieznacznie weszło w zwyczaj, że przychodził wieczorem, siadywał bałamucąc obie Włoszki, niekiedy je do śmiechu pobudzając, a w końcu i pożądanym się stał, bo je bawił.

Dżemma zaczęła na niego patrzeć okiem łaskawszem. Miał łaski u króla, chciała go użyć za pośrednika, bo Merło się jej wydawał niezręcznym.

Włoch przyrzekał więcej daleko niż się spodziewał dotrzymać, bo w istocie nie miał tej poufności i zaufania u Augusta, aby śmiał mu coś powiedzieć.

Łudzona obietnicami Dżemmy, coraz Włocha więcej potrzebowała i dała mu wstęp do domu, w którym się on zasiadywał.

Tak się to dosyć długo ciągnęło, a Augusta w ciągłych przejażdżkach schwycić nie mogła Włoszka, aż naostatek za poradą Testy, wybrała się za miasto, gdy miał wieczorem z Trok powracać i zuchwale mu zastąpiła drogę.

Szcześnie król tak jak sam był, bo nie miał nikogo oprócz dworzan przy sobie. Zatrzymał się zobaczywszy ją, bo litość może powziął nad nią, i oddawszy konia dworzani-
ninowi, pieszo dalej szedł z nią razem.

Dżemma wiedząc, że się jej może niełatwo uda drugi raz z nim spotkać, wybuchnęła wyrzutami i narzekaniem straszliwym.

Przypominała mu dawne obietnice i przysięgi, oplakiwała swą niedolę, groziła, że życie sobie odbierze. Scen takich August nie lubił, a serce miał miękkie.

— Uspokój się, na Boga — rzekł — nie zapomniałem o tobie, ale się okoliczności zmieniły; król nie jest panem siebie, a rychlejby nas niewolnikami niż królmi zwać przystało. Nie wymagaj odemnie czego dać nie mogę.

— Ja nic nie chcę oprócz serca! — płacząc odparła Włoszka.

— Nie odebrałem ci go, masz je — rzekł król — lecz przed całym światem z tą miłością się okazywać nie mogę. Nie dość, że ja żonaty, ty wyszłaś za mąż nie spytawszy mnie, a to samo nas rozdziela.

— Jako? — krzyknęła Dżemma — moje małżeństwo żadnem jest! Męża mojego nie znam. Wzięłam go jedynie dlatego, abym mogła sobą władnąć i tu przybyć, a wy mnie, królu i panie, karzecie za to, co mnie najwięcej kosztowało i było ofiarą dla ciebie.

Zygmunt nie odpowiedział nic, zwołał kroku.

— Słuchaj Dżemmo! — rzekł stanowczo — uczynię dla was i dla ciebie co tylko mogę, lecz na życie ze mną nie rachuj. Dziś ono niepodobierstwem. Samo przebywanie twoje tutaj niemiłem mi będzie, jedź dokąd chcesz. Mężowi i tobie dam zapomogę, gdy tylko władzę odzierzę, a to nastąpi wkrótce.

Usłyszawszy wyrok ten Dżemma zachwiała się i byłaby z krzykiem padła na ziemię, gdyby nieopodal stojąca Bianka nie pochwyciła jej w silne ramiona. Król natychmiast konia sobie podać kazał i na zamek odjechał.

Gdy do siebie przyszła pani Dudyczowa, rozpacz jej zmieniła się w gniew i pragnienie zemsty okrutne. Straciła wszelką nadzieję, życie jej było zwichnięte.

Przez dni kilka Bianka musiała czuwać nad nią, chować sztylety i zapobiegać aby nie dostała trucizny. W końcu jednak uspokoiła się tyle, iż z odgrózkami na ustach, postanowiła powrócić do królowej.

Merło z rozkazu Augusta w parę dni potem przyniósł paręset czerwonych złotych i radę, aby się z Wilna oddaliły. Dżemma rzuciła pieniędzmi o ziemię, ale je Bianka skrętnie pozbierała. Nie chciała nawet czekać na powrót męża, a że Testa wypraszał się do Krakowa i ofiarował jej towarzyszyć, wszystkie Włoszki razem z nim puściły się w drogę ku Warszawie.

Los dziwny chciał, by z Dudyczem się gdzieś rozminęli niepostrzeżenie, tak iż ten do Wilna przyjechawszy, znalazł izby puste i dług tylko niezapłacony, który uiścić musiał.

Gospodyni mu bez ogródki opowiedziała, że żona jego z Włochem kawalkatorem w świat ruszyła.

Co się tam z Dudyczem działo, gdy się dowiedział o swoim losie, nikt nie odgadł, bo zasepił się, głębiej zwarł mocno, zębami zgrzytnął, ale słowa nie powiedział.

Milcząc dług zapłacił, koniom odpoczął, sam się wyspał, a gdy nie było tu co robić, poszedł Merłą pożegnać i zabrał się żonę gonić.

Zobaczywszy go dworzanin królewski zdziwił się widząc tak na pozór obojętnym. O Włochu kawalkatorze mowy nie było. Dudycz wyjazd jejmości składał na nieporozumienie. Spytany o to kędy bywał i co słyszał, powiedział że nic nie wie nad to, iż stara królowa z młodą w Warszawie siedzą.

Zamkniętym i milczącym znalazł go Merło aż do zbytku.

Nazajutrz rano Dudycz już był na koniu i ruszył rozpytawszy o jak najbliższą drogę do Warszawy, pewien, że tam żonę zastanie.

Ponieważ królowej nie była już potrzebną, myślał ją zabrać na wieś do siebie i tam zamknąwszy ugłaskać a zmusić do lepszego z sobą pożycia.

Lecz Petrek lepiej się znał na soli i na handlu nią, niż na sercach kobiet i włoskim temperamencie.

Próżne były wszelkie starania Bony, aby zjazd w Brześciu został odroczone. Wydano listy i stary król, choć nie zbyt silny, na dni kilkanaście przed terminem wyprawił część dworu, za którym sam i dwie królowe z nim puściły się małymi dniami, kierując ku Bugowi.

Bona jechała milcząca, blada, z oczyma zapłakanymi, nie mówiąc do synowej, mierząc ją wzrokiem zjadliwym, którego wyraz przejmował trwogą Elżbietę. Pokora, uległość, posłuszeństwo, wszystkie środki prześlągnięcia tego tłumionego gniewu, który nie wybuchnął, bo nie miał najmniejszego pozorów, coby go mógł usprawiedliwić, napróżne były ze strony Elżbiety.

Codziennie prawie spotykały ją dotkliwie przykrości, które w milczeniu polykać musiała, taić i twarz, na przekór im, okazywać wesołą. Bona za poradą swego astrologa i lekarzy, przestrzeżona, iż młodej królowej drażnienie niebezpiecznym być mogło, właśnie zdawała się rachować na nie, aby chorobę, o której wiedziała, na której objawy czatowała, wywołać.

Lecz szczególnym zrzędzeniem jakimś, Elżbieta, którąby może szczęście zmoгло, ucisk wytrzymywała bohaterko. Hölzelinowna, czuwająca nad nią, każdego dnia dzierżowała Bogu, gdy przeszedł bez wypadku. Lękała się, aby kiedy paroksyzm ów straszny nie pochwylił królowej w chwili, gdy na nią dwór i stary król patrzył.

Zygmunt dotąd, gdy o chorobie synowej Bona mu mówiła, kłam jej zadawał. W istocie kilka razy ze znużenia, po łzach, po wielkim zmartwieniu w nocy dostawała Elżbieta tego zdrętwienia, gdy oprócz piastunki, nikt nie był jego świadkiem. Przechodziło to snem do rana, a choć nazajutrz bladą była i twarz świadczyła o znużeniu, Hölzelinowna zaprzeczała chorobie i sama Elżbieta zaręczała, że jest zdrową. W tem, jak w innych sprawach, nie powodziło się teraz Bonie, a przy jej charakterze gwałtownym łatwo się domyśleć do jakiego stanu to ją doprowadzało. Gotowa się była chwycić środków ostatecznych.

Codziennie potajemne narady z lekarzami, nie samym stanem zdrowia króla były spowodowane.

Podróż do Brześcia, osłabioną wiosennym powietrzem królowę Elżbietę, nadzieja połączenia się nareście z mężem, wyzwolenia z więzów nieznośnych, dźwignęła cudownie. Twarzyczka jej zarumieniła się znowu, usta uśmiechały jeszcze milej, ścisła Kätchen i zaręczała jej, że nigdy, nigdy już chorować nie będzie.

Hölzelinowna jechała z wielką i nieustającą obawą. Wiedziała ona, iż wszelkie wstrząśnienie moralne, cierpienie duszne mogło nagle sprowadzić paroksyzm, a na tych nie zbywało, dzięki Bonie.

Naostatek po długiej, powolnej podróży nad rozlanym jeszcze szeroko Bugiem wiosennym, ukazał się naprzód Błotków, a potem szary, po większej części z drewnianych domostw składający się Brześć litewski.

Wiosenna pora dobraną była na zjazd, dlatego też, że w miasteczku Litwa zebrana na żaden sposób pomieścić się nie mogła.

Leżała obozem dokoła.

Oprócz panów litewskich, prócz szlachty, Polaków też urzędników znaczniejszych i senatorów do boku króla przystawiło się niemało.

Gdy Zygmunt Stary i obie królowe przyjechały do Brześcia, Augusta tu jeszcze nie było, obiecywano go na jutro.

Jeżeli kto to Bona czekała na syna z najwyższą niecierpliwością, czując że spotkanie to o przyszłości wyrokować miało. Nie żeby się ona jej wyrzec chciała, znajdując Augusta zmienionym dla siebie, miała jeszcze siły do walczenia z nim, ale wolałaby była uniknąć gorszącego zajścia z dzieckiem własnym, które liczbę jej przeciwników zwiększyć musiało.

Serce matki, kobiety, ma przecucia i widzenia wczesne — i Bona, choć się jeszcze ludzi starała tem, iż Augusta potrafi znowu pozyskać, że mu się wyzwolić nie da, czuła iż miał jej, po jedenastu miesiącach spędzonych na Litwie, innym niż jechał powrócić.

Wszyscy ci panowie litewscy, którzy go tu poprzedzili i króla wyjechali na moście między Błotkowem a Brześciem powitać, zgodnie wynosili Augusta, chwalili go i dziękowali zawczasu ojcu, że im takiego pana miał dać do rządów.

Król tych zbyt pochwał nie lubił i przyjął je w milczeniu. Bona oczami zdawała się nakazywać oratorom powściągnąć się od nich. Elżbiecie serce rosło.

Nazajutrz wedle obietnicy przybył Zygmunt August, wiedząc już o ojcu, matce i żonie, i uroczyście w kościele się spotkał z nimi. Wszyscy co go tak długo nie widzieli, żona pierwsza, wielce na korzyść znaleźli zmienionym.

Wyjeżdżał z Krakowa, można było powiedzieć, młodzikiem, powracał z Wilna poważnym mężem.

Dojrzałość ta malowała się w wejrzeniu, twarzy, w postawie i ruchu każdym. Pięknym był i krasa młodości niezwiędła kwitła na jego obliczu.

Przy powitaniu ojca i matki, oko jego padło na stojącą za nimi żonę, która od tego wzroku zadrżała, poczuła nawet ów tajemniczy powiew², który zwykł był poprzedzać odrętwienie, lecz wielka siła woli zwyciężyła to niebezpieczeństwo.

Z żoną powitanie publiczne było stosunkowo chłodne, ale Bonie wydało się obrachowaniem na oszukanie ją kłamstwem.

August, znający dobrze matkę, która w tej chwili radość udawać usiłowała, widział, że była gniewną i zmagala się tylko na okazanie mu czułości.

Burza nadchodząca była nieuniknioną... król młody na nią zrezygnowany.

Po odśpiewaniu hymnu dziękczynnego i błogosławieństwie, królowie stary i młody, obie królowe, towarzyszący im dwór świetny, wszyscy na zamek jechali.

Kilka godzin zajęły uczta, rozmowy, przyjęcia osób przybywających, i Bona cofnąwszy się pierwsza do swoich komnat, przez dworzanina oznajmiła synowi, że tam na niego tegoż dnia czekać będzie, a widzieć się i rozmówić nieodzownie potrzebuje.

Dawniejszym obyczajem byłby August pośpieszył zaraz do matki, tym razem jednak dosyć na siebie czekać kazał, tak że wysłany dopiero po niego Opaliński przyprowadził go Bonie.

Królowa siedziała oparta o stół i nie rzuciła mu się na szyję jak niegdyś, oczy jej pałały ogniem, usta drżały i ręce, pierś miotała się gwałtownie.

Syn wszedł z twarzą wesołą, ale chłodny.

²ów tajemniczy powiew, który zwykł był poprzedzać odrętwienie — *Aura epileptica*. [przypis autorski]

Milczenie Bony było już groźne.

— W. K. Mość — odezwała się z przekąsem — bardzo mi spoważniałeś na Litwie i zapomniałeś o matce. Nie wiem czy ja na to zasłużyłam...

Oddech jej mowę zatamował.

Nie schyliwszy się do pocałowania ręki matki, August stanął.

— Zdaje mi się — odparł — że i ja na wymówki nie zasługuję. Czemże zawiniłem?

Bona poruszyła się na krześle.

— Nie kłam — zawołała unosząc się nagle — powracasz innym. Dałeś się ująć ludziom, którzy są wrogami moimi.

— Ja? — odparł August — ja? do tego się wcale nie czuję...

— Wierz mi — przerwała gwałtownie Bona — iż każdy twój krok, niemal myśl jest mi wiadomą. Kochałam cię i Kocham, pragnę twojego dobra. Jesteś niewdzięcznym.

— Ale chemże zawiniłem? — chłodno zapytał Zygmunt August.

— O! uderz się W. K. Mość w piersi! — poczęła szybko królowa. — Łatwiej to uczuć mnie, matce, niż wypowiedzieć i wyliczyć. Od kilku miesięcy listy ustały prawie, ton się ich zmienił, w kilku znalazłam zdania zupełnie moim przeciwne. Naostatek...

Zamilkła nagle, chustkę, którą miała w ręku, rzuciła na stół i dłonią otarła oczy płakając poczynając.

Wtem we drzwiach, które się po za królową znajdowały, tak iż ona ich widzieć nie mogła, drgnęła zasłona ciężka, część jej uchylono i blada twarz Dzemmy, z oczyma gniewnymi, wlepionymi w Augusta, ukazała się na tle ich ciemnym.

Młody król spojrział groźnie i już mając odpowiedź na ustach, wstrzymał się z nią, Bona poruszyła się gwałtownie na siedzeniu — widmo Włoszki znikło.

Królowa tak była nawykłą zawsze do gniewu mięsząc łzy i odegrywać sceny z mężem, któremi go nużyła a w końcu pokonywała, iż mimowoli z synem teraz miała rozpocząć podobną sprzeczkę, gdy spojrzenie na niego zmieniło to usposobienie. Nie potrzebowała z nim używać tych wybiegów, miała prawo powagą macierzyńską go pokonać.

Podniosła głowę dumnie.

— Dałeś mi W. K. Mość uczuć — poczęła głośnie — iż nawet na dziecko własne liczyć nie można, że ja tu jestem otoczona zdrajcami i zdradą. Od kilku miesięcy zmieniłeś się widocznie, królowa Elżbieta i jej przyjaciele pozyskali sobie afekt W. K. Mości.

— Nie miałem z nimi stosunków — rzekł August.

— Jawnych nie, ale potajemnie.

— Ja nic nie robię skrycie — odparł król.

— Maż to być wyrzutem, że ja sobie w ten sposób poczynam? — krzyknęła królowa.

August zmilczał.

— Staralam się godność królewską rodziny waszej ocalić opierając się rozkazom króla rzymskiego, który wraz z cesarzem chciałby z nas niewolników swych uczynić. Szlą nam tu posłów z wymaganiami coraz cięższymi, grożą, zmuszają, a my mamy uleść i być posłuszni? Na mnie spada cała ich złość dlatego, że ja was bronię z narażeniem moich dóbr w Neapolitańskim, siebie...

Zamiast wdzięczności, król stary, jego rada przekupiona przez cesarza, który, wiem że ks. Samuelowi podarki przesyła, a nareście i wy bierzecie stronę Elżbiety przeciwko mnie...

August wysłuchał tej mowy cierpliwie, a Bona dodała jeszcze w końcu.

— Nawet tu, do Brześcia, jeszcze wysłali znowu posła z nowymi wymaganiami.

— Ale pozwól mi W. K. Mość powiedzieć — rzekł młody pan — iż domagania się te są słuszne.

Zmarszczyła się Bona i uderzyła o stół ręką.

— Tak już teraz sądzicie! tak — zawołała — a ja bronię was od pożycia z niewiastą chorą, która i was może zakazić swoją chorobą, nie miałam słuszności?

— Królowa Elżbieta wcale nie jest chora.

— A zkądże o tem wiesz W. K. Mość, coś jej jedenaście miesięcy nie widział, gdy ja na nią codzień patrzę? — podchwyciła Bona. — Wyznajesz więc sam, że miałeś potajemnie doniesienia, mnie nie wierząc.

— Nie potajemnie, ale jawnie świadczą o królowej ci, co ją też widywali ciągle — rzekł August.

Bonie, widząc że jej syn nie ustępuje, łyż stanęły w oczach.

— Myślisz więc — wykrzyknęła — zgiąć się przed królem Ferdynandem i posłuszny rozkazom jego żonę zabrać? Słyszałam, żeś dla niej na zamku przygotował już pomieszczenie?

— Tak jest — odparł król sucho. — Nie mam i nie mogę mieć żadnej wymówki, jestem jej mężem, powinienem z nią żyć.

Sama W. K. Mość w liście do Herbersteina pisałaś mu, że ja mam własną wolę i mogę postąpić jak chcę. Czynię więc wedle rady W. K. Mości, korzystam z prawa mojego.

Bona się podniosła z krzesła.

— Któż W. K. Mości mówił o liście do Herbersteina? — krzyknęła.

— Alec on tajemnicą nie był — odpowiedział Zygmunt August.

Królowa już nie miała co rzec na to, płakała gniewna, ocierając łyż i poruszając się na krześle, jak gdyby z trudnością na niem utrzymać się mogła.

— Tak więc — dodała z za łez — W. K. Mość także zrywasz ze mną, nie chcesz ani rady, ani dobrodziejstw moich, ani serca! Bardzo dobrze! ale raczcie pamiętać, że ze mną rozbrat wziąć można, ale mnie przebłagać potem, nigdy! raczcie pamiętać, że ja tu jeszcze w tem królestwie, dopóki pan mój i król żyw, coś znaczę, a gdyby nawet Bóg mi go wziął, mam przyjaciół i obrońców mieć będę.

— Boli mnie — zimno odezwał się August — że W. K. Mość mnie już dziś jakby nieprzyjacielem swym a nie dzieckiem liczysz, gdy nic nie uczynilem.

— Jakto nic? — przerwała Bona. — Przypomnij jakeśmy się rozstawali, a jak się dziś spotykamy. Padaleś mi do nóg, gdym wyposażyła na drogę, bo nie miałbyś z czem pójść na Litwę, gdyby nie dobrodziejstwa moje.

— Za które i dziś wdzięczny jestem — odparł August — ale nie wiem jak mam okazać wdzięczność moją.

— Ja nie potrzebuję żadnych oznak wdzięczności... dla siebie nic — poczęła podnosząc głos Bona — ja pragnę waszego dobra. Nie powinniście się dać upokarzać królowi Ferdynandowi i pozwalać narzucać żonę.

Spojrzała na syna, którego twarz wyrażała stałe postanowienie.

— Nie dla króla Ferdynanda ani dla cesarza to czynię, iż żonę zabiorę — rzekł sucho — ale dla sumienia własnego. Jest to obowiązek. Biedna królowa wycierpiała dość, czas jest, aby zajęła stanowisko, do jakiego ma prawo.

— Prawo!? — ironicznie powtórzyła Bona — prawo? Jednego grosza posagu dotąd nie wniosła, żyje z naszej łaski.

To niezręczne wtrącenie przymówki o posag, rumieńcem okryło twarz młodego króla, który dodał żywo.

— W liście swym król Ferdynand zapowiada wypłatę części znacznej posagowej summy za kilka miesięcy.

— A! na obietnicach u nich nigdy nie zbywa — rozśmiała się Bona.

Rozmowa zdawała się wyczerpaną. Królowa wiedziała to o czem się przekonać chciała, młody król też czuł, że stosunek dawny z matką może na zawsze zostać zerwany i zmieniiony.

Wielką, namiętą miłość miała zastąpić nienawiść.

Nie zbliżając się nawet do matki, która w krześle swem siedziała rozparta, skłonił się nisko i zwrócił ku drzwiom. Bona, zapewne spodziewając się czegoś więcej, rzuciła się jakby gonić za nim chciała i pomiarkowawszy zaraz, głową skinęła, padła na poręcz siedzenia.

Zygmunt August krótko się zatrzymawszy w przedsieni, gdzie na niego czekali komornicy, zwrócił się do mieszkania żony, którą widział tylko zdaleka.

Zajmowane przez nią izby były tak szczupłe i niewygodne, że w głównej z nich zasłona wielka zawieszona w połowie oddzielała część jej od sypialni, w której Hölzelinowna siedziała.

Elżbieta zdawała się oczekiwać na męża, siedziała przy stole przebijając w otwartej szkatuleczce, zawierającej listy ojca, matki i rodzeństwa. Wyraz niemal dziecięcego wesela twarzyczkę jej nieco bladą ożywia. Widać było, że w tej chwili nadzieja czyniła ją szczęśliwą.

Zdała posłyszawszy kroki, domyśliła się ukochanego, upragnionego męża, którego we drzwiach zapowiedziawszy dworzanin, sam ustąpił.

August wszedł z postawą swobodną i obliczem jasnym, obejrzał się po mieszkaniu, uśmiechnął.

Królowa powstała i nieśmiało, hamując się, kilka kroków naprzód postąpiła, niskim ukłonem go pozdrawiając.

— Przychodzę na chwilę tylko — rzekł August — śpiesząc oznajmić W. K. Mości pani mej milej, że ztąd razem połączeni pojedziemy do Wilna. Chciejcie więc do tego czynić przygotowania.

Elżbieta złożyła ręce i nie umiejąc słowem, odpowiedziała wdzięcznym spojrzeniem długim.

— Jak długo w Brześciu zostać musimy, nie wiem — dodał August. — Wierz W. K. Mość, iżbym rad jak najkrócej.

Mówiąc młody król, który zdawał się nie śmieć przystąpić bliżej, i ręki jej nawet nie dotknął, badał ją pilno oczyma, a twarz jego świadczyła, iż skromna, łagodna, bojaźliwa pani młoda za serce go chwytiała.

— Mamy tu ludzi tylu do widzenia, tyle spraw do załatwienia — dodał August — iż mi się dziwić nie będziesz W. K. Mość, że wiele z nią czasu spędzać nie mogę. Nagrodzę to sobie podróży i na miejscu w Wilnie.

Mówiąc to skłonił się z galanterią rycerską, ręką pozdrowił królowę, która schyliła się przed nim, i wyszedł szybko.

Hözelinowna tak się dla pani swej obawiała silnego wrażenia przy tem spotkaniu, iż przez cały czas u zasłony stała na straży, a zaledwie się drzwi zamknęły, przypadła do Elżbiety, która osiadła w krześle.

Z niepokojem, przykląkwszy przed nią, badała jej twarzyczkę, która na chwilę zbladła, lecz rumieniec życia powrócił na nią. Ręce królowej splotły się na szyi piastunki.

— Widziałas go? — szepnęła — Jaki on śliczny, jak bosko piękny, jak poważny, jak głos ust jego słodki, jakie wejrzenie życiem karmiące, co za muzyka w tych słowach, co za wdzięk w ruchach! Widziałas gdy mnie żegnał.

A, ale ty, ty, moja Hözelin, nie czytasz jak ja w jego oczach, głosie i mowie, która dla mnie ma znaczenie inne. Ja czuję to co on chce powiedzieć a nie mówi, co myśli. Kätchen! my będziemy szczęśliwi!

I przytuliwszy się jej do ucha szepnęła:

— A! Bona! Bona się będzie wściekała, ona co mnie tak chciała widzieć pod nogami swemi, błagającą litości!

Uspokojona piastunka wstała, starając się rozerwać panią swą, aby się nazbyt uczuciom silnym opanowywać nie dała, usiłowała ją zabawić, poprowadziła do okna okazując pocztę, konie i oryginalne stroje ciągle na zamek przybywających panów.

Brześć był pełen, zjazd ogromny i nawet posłowie króla Ferdynanda się tu znaleźli, którzy, za radą Marsupina, pokoju nie dawali królowi staremu.

Zygmunt August zaledwie powrócił do kamienicy, którą zajmował w mieście, gdy mu oznajmiono podkanclerzego, ks. Samuela.

Biskup płocki pośpieszał tu, chcąc uprzędzić wpływy inne, i działać na korzyść młodej królowej, nie wiedział bowiem jak młody król był usposobiony, a Bony się obawiał.

Wyszedł na spotkanie jego Zygmunt August z tą twarzą weselszą, którą przywiózł z Litwy.

Biskup powitał go uprzejmie... siedli we dwu w pierwszej komnacie.

— Śpieszyłem powitać W. K. Mość — odezwał się ks. Samuel — a uprzędzić ją, iż król ojciec pragnie tego mocno, aby się raz nieporozumienia z królem Ferdynandem skończyły. Przybyły aż tu posły nalegając na to, aby królowa Elżbieta na Litwę z W. K. Mością jechała.

— Ale to jest rzecz postanowiona — rzekł młody król — przeszkody ku temu nie widzę żadnej. Zgodni jesteśmy wszyscy. Dotąd naprawdę nie było gdzie w Wilnie pomieścić królowej, zamek po pożarze nie był wyrestaurowany, a nim przyjedziemy, stanie gotów.

— Dzięki Bogu! — odparł, ręce składając. — Stanie się więc zadość prawom boskim i ludzkim, słusznym żądaniom rodziny i starego króla.

— Tak jest — potwierdził August — ja się tem równie cieszę jak król ojciec mój, bom tego pragnął.

Znalazłszy tak niespodziewanie powolnym młodego pana, biskup już tylko mógł winszować i błogosławić. Niemniej nagle w nim zmiana budziła ciekawość, bo zgoda na przyjęcie żony albo zwiastowała zerwanie z matką, lub z jej strony podstęp jakiś.

Tego się biskup obawiał i pragnął lepiej objaśnić.

— Tak więc — odezwał się — W. K. Mość potrafiłeś szczęśliwiej niż my, cośmy nad tem nadaremnie pracowali, przekonać królowę matkę, iż dłużej się zwlekać nie godziło.

Spojrzał na młodego króla, który oczy trzymał wlepione w posadzkę.

— Królowa JMość ma uprzedzenia, które nie łatwo zwyciężyć — rzekł. — Inaczej się na to zapatruje, nie zgadza się dotąd, lecz będę musiał wbrew jej życzeniom postąpić.

Sama ona, odpowiadając Herbersteinowi, wyraziła w liście, iż mam własną wolę, której użyć jest w mej mocy. W ten sposób całą odpowiedzialność zrzuciła na mnie.

Musiałem to J. K. Mości przypomnieć i do tego się odwołać.

Podniósł oczy na biskupa, który radośnie przyklasnął.

— Bardzo szczęśliwie! bardzo słusznie postąpiliście W. K. Mość. Biorąc do słowa odpowiedź królowej, całą winęby na W. Miłość składano.

— Królowej Elżbiecie oznajmiłem, że ztąd razem jedziemy do Wilna — dodał August.

Maciejowski odetchnął. Rozmowa o przyszłym sejmie przeciągnęła się jeszcze czas jakiś, poczem odjechał Maciejowski.

Na chwilę pozostawszy sam, król podkomorzego dworu swego przywołać kazał.

— Włochowi kawalkatorowi Testa zechciejcie oznajmić — rzekł — iż usług jego na przyszłość potrzebować nie będę. Wypłacić mu polecić jego lenung i niech wraca zkąd przybył.

Nie tłómacząc się więcej, król na tem zakończył. Obrażonym się czuł przez Dżemmę, naprzód tem wyjściem za mąż, potem płochem przyjęciem za towarzysza podróży Włocha. W ten sposób dawna kochanka królewska czyniła panu ujmę, okazując się lekką i pospolitą dworką.

Dżemma powróciła na dwór Bony jak widzieliśmy, która może jeszcze na jej chęci pomszczenia się i na piękności i na miękkiem sercu syna coś budowała.

Przed przybyciem króla, zjawił się też ścigający żonę Dudycz, która znać go nie chciała.

Musiał prosić o posłuchanie królowej Bony, aby się skarżyć przed nią i prosić o wydanie małżonki, ale zagniewana królowa wylażała go, że się z żoną obchodzić nie umiał, że na jej względy nie zasłużył, że wcale godzien nie był takiej połowicy i pozbyła się go nic nie obiecując.

Dżemma została przy fraucymerze, a dla męża była niedostępną.

Dudycz niewiedząc co począć, gdzie się zwrócić, czekał na przyjazd Augusta, poszedł z prośbą do Merły, aby mu posłuchanie wyjednał i postanowił prosić pomocy jego.

Nie łatwo było przy takim natłoku ludzi i zajęć o chwilę wolną. Król młody nie miał też ochoty wdawać się w tę sprawę, ale dozwolił Merłowi zrana, gdy się ubierał, wpuścić biednego Dudycza, który do ziemi się skłoniwszy, skargi wywodzić zaczął.

Żalił się na Testę; wtem król mu usta zamknął tem, że już odprawę dał i sługą jego nie był.

— Wstaw się W. K. Mość do najmiłościwszej matki swej — dodał Petrek — aby mi żonę oddała.

Król ramionami poruszył.

— Mogę to uczynić — rzekł — lecz z góry przewiduję, iż mojej prośby nie posłucha.

Piszczął i bolał srodze Dudycz, rachując straty ogromne, jakie już poniósł na niewdzięczną. Kazano mu przyjść dnia następnego.

Sam na sam z matką rzadko się teraz znajdował August i unikał tego, aby na próżne wymówki się nie narażać; ale szło mu o to, aby Dżemmę oddalić. Wstydział się jej teraz.

Na chwilę po obiedzie zszedłszy w jadalnej izbie na stronę, August przebaknął, iż mu się skarżył Dudycz i o żonę domagał.

— Gotowi i o to mnie ludzie obwiniać — zakrzyknęła Bona — iż ja jej daję przytułek! Ale to dawna moja wychowanka i sługa. Schroniła się pod opiekę do mnie, bo męża ma

gburą nieokrzesanego, który się z nią obchodzić nie umie. Nie trzymam jej, może jechać kędy chce, ale wypędzić nie mam serca.

Spojrzała jakby z wymówką na syna, że on serca nie miał.

August szepnął o tem, iż z Wilna uszła z Testą i okazała się płochą.

— Testa! — odparła Bona — towarzyszył jej razem i Biance. On też litość miał nad opuszczoną przez wszystkich, boś i W. K. Mość w Wilnie ją nieludzko przyjął, choć mu dawniej była bardzo drogą.

— W Wilnie na mnie tysiące oczu patrzyło — odparł August. — Nie mogłem tego uczynić co chciała, bo się wprost na zamek dobijała.

— Kocha cię — rzekła Bona ciszej — winy jej nie widzę.

Król zamilkł.

— Zdaje mi się — dodał odchodząc od Bony — że najlepiejby uczyniła dziś do męża powracając.

— A! powracać nie może — rozśmiała się Bona — bo nigdy z nim nie była!

Na tem się skończyło pośrednictwo króla. Zagadnięta Dżemma, dumnie odparła, że Dudycz, prostego parobka znać nie chce i żyć z nim nie myśli. O Tescie nie było mowy, który jako kawalkator dawny młodego króla szukał sobie miejsca na dworze u jednego z możnych panów i łatwo je mógł pozyskać.

Gdy potem Dudycz stanął się do młodego króla, Merło mu w jego imieniu powiedział, że u królowej i u Dżemmy nic nie zyskał.

— Cóż ja mam robić? — lamentował Dudycz.

— Ba! na waszem miejscu — odparł Merło śmiejąc się — dałbym takiej jejmości za wygranę i znałbym jej nie chciał.

— To nie może być — zawołał Dudycz — śmiać się ze mnie będą ludzie.

— Oni się już i tak śmieją — rzekł Merło.

— No, to trzeba przekonać, że ja kiedyś co postanowił, umiem na swem postawić.

— Jak? — zapytał Merło.

Petrek miał, jak się okazało, plan już cały w głowie.

Królowej panny chodziły się kąpać do Buga, towarzyszyła im pani Dudyczowa. Miejsce w którym pod wierzbami i łożą szukały chłodku i wypoczywały, było od miasta i obozów oddalone. Uparty Petrek chciał urządzić tu zasadzkę, porwać żonę i uwięzić ją do domu. Przyznał się do tego Merle, który śmiał się a potakiwał.

— Jak sądzicie — spytał Dudycz — każe mnie stara królowa ścigać, będzie prześladować?

— Nie myślę — rzekł Merło — ma ona tu dosyć do czynienia, a Dżemma jej teraz nie tak potrzebna, aby miała zbyt się o nią troszczyć. Jeżeli wy to potraficie, aby na razie wam jej nie odebrano, nikt pewnie za nią gonić nie będzie, chyba Testa, a ten siły nie ma i ludzi nie zbierze.

W kilka dni potem wieczorem wieść się rozeszła, iż z fraucymeru królowej starej piękną Włoszkę porwano i wpadła jak w wodę, poszedłszy do kąpieli. Ochmistrzyni i panny, które z nią były, szczególnie Bianka, opowiadały, że widziały gdy ją ludzie jacyś zbrojni pochwycili, usta jej zawiązali i do wozu zanieśli, który natychmiast w czwał puścił się ku gościńcowi.

A że i Dudycz zniknął, a Merło do zachowywania tajemnicy nie był obowiązany, wiedziano wkrótce, iż on własną swą żonę odebrał, czego mu tak bardzo za złe nie miano.

Testa też, który u Chodkiewiczów znalazł miejsce, nie mógł ani myślał gonić za nią. Królowa Bona skarżyła się o gwałt ten synowi, który najmocniej ręczył, że nie wiedział o niczem.

— W. K. Mość wydalicie ją za tego człowieka — rzekł — o czem ja wcale nie wiedziałem, nie można się dziwić, że o własność swą się upomniał.

Królowa Elżbieta wiedziała dobrze o Dżemmie i zawsze się jej obawiała, wielki więc ciężar spadł z jej piersi, gdy Hölzelinowna przysła oznajmić, iż Włoszkę mąż porwał i wywiózł, dokąd, nie wiadomo.

— Byle królowa Bona winy tego wypadku na nas nie złożyła — odezwała się Elżbieta — bo co się kolwiek stanie, zawsze to na mój rachunek składają!

Odgadła dobrze młoda pani, gdyż w istocie puszczono ze dworu starej pani wieść, że posłowie i ludzie króla rzymskiego, z naprawy królowej Elżbiety, podmówili do wykradzenia i dopomagali do niego.

Chociaż Włoszka nie wydawała się już niebezpieczną, cieszyli się wszyscy iż się jej pozbyto, a August na opowiadanie o tem Merły, nie odparł ani słowa. Miłość jego dla niej dawno była wygasła.

Im więcej zbliżał się oznaczony dzień zamknięcia sejmu i wyjazdu młodych królestwa na Litwę, tem Bona gorączką większą miotana, zabiegała na wszelki sposób, aby jeżeli nie wzbronić odjazdu, przynajmniej go odroczyć.

Przyszło do tego, iż okazywała politowanie nad Elżbietą, która na Litwie lekarzy miała być pozbawioną, gdy w Krakowie do wyboru ich było, a stan zdrowia pilnej wymagał pieczy.

Ale August miał dwu doktorów — Polaka i Włocha, którzy, choć może Strusiowi i astrologom, doktorom Bony sławą nie równali, zdaniem jego starczyli.

Wiedząc jak dalece każde zbliżenie się czulsze do żony matkę rozdrażnia, król młody w czasie pobytu w Brześciu, mało, krótko i zdala ją tylko widywał, co ona rozumiała dobrze i nie żaliła się na to.

Żyła cała w tej błogiej przyszłości, jaką sobie obiecywała.

Napróżno też potajemnie zabiegała Bona, aby puszczenie rządów Litwy Augustowi choćby odroczyć. Dotąd powolny Zygmunt, usilnym naleganiem nietylko Litwy ale senatorów polskich uległ, znajdując słusznem, aby ten, co po nim miał objąć rzędy całego kraju, uczył się na części jego trudnej sztuki rządzenia ludźmi.

Rzecz została postanowiona, ogłoszona, i Bona ze swym obozem, który w Litwie miał mało sprzymierzeńców, poniosła wielką klęskę.

Było to jakby zapowiedzią strat większych jeszcze.

Nadewszystko bolało ją to, że syn w ciągu pobytu w Brześciu nietylko się nie starał odzyskać łask, poddać na nowo, przejednać, ale widocznie unikał wszelkich zręczności widywania sam na sam i z wielkiem poszanowaniem, ale z większym jeszcze chłodem się z nią obchodził.

Plakała temi łzami gorzkimi gniewu, które boleści ulgi nie przynoszą, ale zatruwają jeszcze. Wszyscy co się do niej zbliżali, znajdowali ją dzikszą, przykrzejszą, niedostępniejszą niż kiedykolwiek. Pozostawał jej oręż jeden tylko, niezmierne skarby nagromadzone w Krakowie i Chęcinach, które i teraz jeszcze powiększać umiała. Król stary, choć osłabły, żyć jeszcze obiecywał, a dopóki on był na tronie, czuła się panią. Na syna już nie rachowała wcale, lecz nie myślała mu ustąpić.

Dzień zgonu Zygmunta miał być rozpoczęciem walki.

Jakim sposobem zjazd zwołany do Brześcia, ściągnąwszy tu królów obu, zatrzymał ich w tej nadgranicznej mieścinie, na niewygodnym obozowisku aż do października?...

O rozwiązanie tego pytania potrzeba było może spytać starą królowę, która na pozór nie mięszając się do niczego, umiała, nie sama ale przez swoich zabiegać tak zręcznie, iż zawsze coś wyjazd z Brześcia hamowało.

Im pilniej było młodemu małżeństwu połączyć się z sobą, a Augustowi objąć naostatek rzędy Litwy, tem Bona rachując jeszcze na rozdzielenie syna z żoną, na utrzymanie się przy swej władzy, zwlekała mądrzej ostateczne rozwiązanie.

Chlubila się ona tem, że na Litwie miała wielu przyjaciół i sprzymierzeńców; tymczasem ci co za panowania Starego Zygmunta istotnie przez nią i Gamrata stanowiska tam wyjednywali i płacili za nie, czując że Bona traci władzę nad synem, zwrócili się wszyscy ku niemu. Pomoc, na którą rachowała, zawiodła ją.

Z Augustem zaś, zamiast przejednania, stosunki tak się stały nieprzyjazne, iż już w Brześciu dwór młodego króla, który mu był oddany, z dworem Bony i Gamrata stanął na jawnie nieprzyjacielskiej stopie.

Gdziekolwiek Augustowi zetknęli się z Bony służalcami, przechodziło do przymówek, odgrózek, i starsi tylko zapobiegali, aby do bójki nie dopuścić.

Młody król z dobrej woli nie przychodził do matki, widywał ją tylko przy ojcu lub publicznie, nie zapraszał się do niej, a ona też, okazując mu gniew, nie przywoływała go do siebie.

Rozjątrzona i gniewna dawała to czuć Elżbiecie równie jak Augustowi i obojgu starała się szkodzić u ojca.

Co do pierwszej, jak dawniej tak i teraz nie wiodło się królowej, co do drugiego Zygmunt, trochę zazdrośny iż synowi miłości wiele okazywano, łatwiej potwarzom i posądzeniom ucha nakłaniał. Nie okazywał mu i teraz twarzy łaskawszej, burczał, żalił się i zawsze coś miał mu do wyrzucenia. Przez cały ten czas Bona trzymała Elżbietę przy sobie i Zygmuncie, tak, że przystęp do niej mężowi był prawie niemożliwy. August przychodził żonę pozdrowić na krótko, podszeptował jej aby miała cierpliwość, ona mu się uśmiechała biedna, w wejrzeniu jego czerpiąc do wytrwania siłę, i tak miesiące całe upływały na wyczekiwaniu.

Tymczasem Zygmunt, jeśli nie chorzał, to słabł i siły tracił widocznie, a ze zdrowiem moc ducha dawniejsza uchodziła. Aby pozyskać swobodę, często, sam nie wiedząc czego Bona się domagała od niego, przystawał na wszystko. Włoszka umiała wyzyskiwać to położenie.

Naostatek gdy po tych wysiłkach nadaremnych podróz Augusta na Litwę niezmiennie trwała na programie, a jesień nadchodząca groźną być zaczynała dla dróg i powietrza, trzeba było oznaczyć dzień wyjazdu.

Z jaką radością usłyszała o nim młoda królowa, August i Litwini, którzy oczekiwali na swego przyszłego W. księcia aby go prowadzić na stolicę Witołdową — opisać trudno. Bona zacinała usta a oczy jej mówiły: — I tam was moja dłoń dosięże!

Naostatek nadszedł ten dzień pożegnań uroczysty, z nabożeństwem w kościele, z pokłonami, z uściskami, ze łzami, i cały orszak młodemu królowi towarzyszący puścił się ochoczo ku Tykocinowi, Grodnu do Wilna.

Okazały był ten poczet najmożniejszych panów, najznakomitszych rodzin potomków, który Augusta otaczał. Z dumą spoglądać nań mogła młoda pani.

Radziwiłłowie, Chodkiewiczze, Pruńscy, Wirszyłłowie, Gastoldowie w tych strojach, jakie onego czasu w używaniu były po całym Bożym świecie, każdy z dobraną i strojną też garstką ludu, z kolebkami, końmi powodnemi, paziami, giermkami, otaczali kolebkę szkarłatną młodej swej pani.

Pomiędzy temi młodemi i poważnemi magnatami, niektóre postacie odznaczały się takim smakiem i elegancją, iż oczy porywały.

Starzy z brodami spływającymi na zbroje, młodzież w piórach na hełmach i złocistych napierśnikach, z tarczami barwnemi u siodel, z Tatarami, których barki przyozdobiły kołczany złotem szyte, barwy służby jaskrawe, przepyszne konie, na gościńcu ciągnęły się milę drogi. Z kolei to jedna to druga garstka zbliżała się do kolebki i straż około niej obejmowała.

August też nie mógł razem z żoną odbywać podróży w kolebce, ale siadł na koń w towarzystwie Radziwiłłów i Chodkiewicza towarzysząc jej u stopni.

Elżbieta z Hölzelinową zajmowała powóz na poły otwarty, tak, że swobodnie wzrokiem mogła ścigać ukochanego małżonka. Naostatek po tak długim utęsknieniu byli razem, byli sami i nic i nikt nie mógł im przeszkodzić miłować się a być z sobą, wiecznie, wiecznie...

Z bijącym sercem myślała o tem tylko królowa i zdawało się jej, że w oczach męża czytała myśl tę samą, obietnicę stałej miłości.

A! straszne, długie przebyli próby miesiące, przeboleli przystęp do tego raj, który ich czekał.

Gdy teraz na myśl jej przychodził surowy, naigrawający się wzrok Bony, drżała jeszcze. Zdawał się ją ścigać, zdawała się te oczy nachmurzoną okryte powieką widzieć przed sobą.

Naówczas zwracała wejrzenie na Augusta, który jechał wesół, uśmiechnięty a tak piękny...

Trącała Kätchen i szeptała jej na ucho.

— Patrz! patrz! nie widaćże w nim króla i pana! nie jestże to najpiękniejszy z rycerzy i najszlachetniejszy z ludzi?

A w duchu powtarzała:

— Teraz nic, nic nas rozdzielić już nie może, nic, chyba śmierć. Nawet śmierć nie rozłączy, bo nasze trumny na wieczny spoczynek staną obok siebie.

Widząc ją tak wzruszoną, Kätchen z trwogą wielką starała się ją uspokajać. Obawiała się ona tego wstrząśnięcia całą istotą rozkochanej długo, a teraz nagle szczęściem swem aż do szalu uniesionej wychowanki.

Jesień choć późna, jak gdyby niebo sprzyjało długo prześladowanym, zdobyła się na dni pogodne i piękne. Na drzewach trzymały się liście pofarbowane żywo barwami jesieni, w powietrzu ulatywały srebrne nici czarodziejskiej przędzy, słońce łagodnie świeciło na błękitnie turkusowym. W powietrzu była woń liści zwiędłych i kłosów, nad drogą ostatnie kwiatki bladymi główkami witały królowę, która wszystkim się bawiła jak dziecko.

A choć kraj po drodze nie był wcale piękny, choć często długo żółte piaski z czarnymi jodłami i czarniejszymi jeszcze krzakami jałowców się ciągnęły, królowa wszystko znajdowała pięknem, zachwycającem.

Noclegi i popasy z powodu znacznej liczby ludzi i koni musiały być tak wyznaczone, aby dla młodej pary przynajmniej parę izb się znalazło na spoczynek. Reszta obozowała po chatach, szopach i pod bogatymi a zawczasu rozbitemi namiotami, w których nieraz może wygodniej było niż pod dachem.

W obozie panowała wesołość, uczucie jakiegoś wyswobodzenia, które się na wszystkich odbijało twarzach, odbrzmiwało w każdym słowie.

Na kogo spojrziała młoda pani, uśmiechał się jej każdy, biegł rad usłużyć i przydać się na coś.

Zdawali się wszyscy, panowie i słudzy, równie w niej rozkochani. Nie słyhać było nic, tylko przechwały piękności, wdzięku i wyrazu dobroci rozlanego na jej twarzy.

Słońce zaszło jaskrawo za ciemne lasy, gdy cały orszak ten stanął wręście u starego dworu, który stanowniczo przygotowali dla króla i królowej.

Ówczesnym obyczajem na takie przyjęcie dosyć było ścian czterech, ław i stołów, reszta na wozach jechała. Rozścielano kobierce, rozpinano opony, okrywano podłogę, stoły, drzwi nawet i okna, przynoszono sprzęt podróżny i w mgnieniu oka pustka się czarodziejsko przeistaczała w coś do pałacu podobnego.

Zupełnie tak samo na zamku krakowskim, gdy w jednej z sal pustych królestwo mieli zasiąść z gośćmi, służba je wyporządkowała.

Na kominie płonął już ogień z suchych drewek olchowych, które tak ślicznym różnobarwnym, spokojnym płomykiem się pała.

Izb dosyć było dla wszystkich i sypialnia już z zaslanem łóżem czekała na małżeństwo; a naprzeciw na stołach okrytych misy i dzbany pełne przynoszono, aby na wieczerzę nie czekali.

Wszystko się czarodziejsko składało a najpiękniej to, że wzroku Bony nie lękała się spotkać nigdzie Elżbieta, że mogła śmiało podnieść oczy, patrzeć i mówić do męża, a on się też nie obawiał jej okazać miłości swojej.

Nigdy też Hölzelinowna od lat dziecięcych nie widziała swej ukochanej pani tak szczęśliwą, tak wesołą i tak szczęściem tem piękną, promieniejącą. Nie mogła się jej napatrzeć.

Tylko ten blask jej oczu niezwykły, to poruszenie wielkie, trochę ją niepokoiły.

— A Boże mój! — myślała sobie — jeżeli przetrwała boleści tyle bezkarnie, czyżby szczęścia znieść nie mogła. Ono uzdrowia i życie daje!

Przy stole królestwo oboje siedzieli razem i piła Litwa zdrowie młodych państwa długich lat życząc, a wierność i miłość im poprzysięgając.

Nawet zwykle poważna i trochę smętna twarz Augusta nabrała wyrazu weselszego — odmłodziła.

Hölzelinowna stała ciągle za krzesłem pani swej sama jej służąc, jakaś obawa nie dozwalała się na krok oddalić.

Niekiedy czując ją po za sobą Elżbieta zwracała się z uśmiechem, nalewała jej wino, podawała potrawy, ale starej ani się pić ani jeść nie chciało.

Po wieczerzy król z Litwinami wyszedł przed dwór, bo noc była gwiazdzista i piękna, a dokoła ludek się weselił, aż miło słuchać go było.

W duszy Augusta jak w sercu Elżbiety dziwny spokój jakiś i uczucie wyswobodzenia zalegało. Pierwszy raz był panem woli swej i panem nad krajem, nad którym daleko

większą miał władzę niż ojciec w Polsce. Ojcowie jego i praojcie królowali tej ziemi, to była jego ojczyzna. Czuł się tu w domu i było mu błogo.

Było mu błogo myśląc o tej biednej żonie, od której go okrutna dłoń matki dzieliła tak długo. Obiecował sobie tej ofierze nieszczęśliwej nagrodzić wszystko co ona wycierpiała dla niego. On najlepiej wiedział czem być mogło to prześladowanie na każdym kroku, ta nienawiść nieprześlądana.

W sypialni Hölzelinowna sama nie dając nikomu zbliżyć się do królowej, zdejmowała z niej suknie podróżne, które dość jej ciążyły, bo w kolebce na oczach ludzi strojną być musiała. Sama rozpuściła jej włosy, aby je ująć na noc w siatkę jedwabną; sama włożyła suknię białą do łoża przeznaczoną, zapaliła lampkę, opatrzyła czy czego nie brakło i cofnęła się ucałowawszy jej ręce, nie dalej jak do drzwi, które wiodły do izby dla kobiet przeznaczonej.

Z bijącym sercem, modląc się, stanęła tu na czatach.

Szpara we drzwiach i uchylona umyślnie zasłona, dozwalały jej widzieć wszystko, co się w sypialni działo. A niezdrożna ciekawość przykutą ją trzymała u proga — lękała się o biedne dziecko swoje. W mroku ujrzała jak się ukazał król, który tylko lekką, futrem okładaną, długą suknię miał na sobie.

Elżbieta, której głowa spoczywała na poduszkach, podniosła się.

Wolnym krokiem August zbliżył się do łoża i ujrzał dwie białe ręce wyciągnięte ku sobie.

— Królu mój! panie mój! — szeptały usta.

— Elzo ty moja! — odezwał się pochylając ku niej August — tak długo na tę chwilę szczęścia czekać nam było potrzeba... tak długo...

— A! wszystko zapomniane — szepnęła królowa — tyś mój, jam służebniczka twoja.

I widziała Hölzelinowna jak August pochylił się ku Elżbiecie, aby pocałunek złożyć na jej ustach, jak ręce go objęły białe — i krzyk rozpaczliwy wyrwał się z ust króla.

Ręce te, które objąć go chciały, nagle ostygły, wyprężyły się, stężały, opadły; oczy powlokły się mgłą, głowa na poduszki się zsunęła; Augustowi zdało się, że trupa już tylko trzymał w drżących dłoniach.

Okrzyk ten zaledwie posłyszawszy, wpadła Hölzelinowna przerażona. To czego się obawiała, o czego odwrócenie się modliła, przyszło jak piorun zatruć pierwszą szczęścia godzinę.

Król stał przelekkły, gdy piastunka dając mu znaki, wcisnęła się do łoża i zwolna królowę układając, uklękła przed nim.

August stał niemy i jakby obłąkany.

— Omdlenie — odezwała się cicho Kätchen — miłościwy panie, trzeba ją tak zostawić, nie tykać, nie czynić nic, to przejdzie samo... A! to nic! to nic!

Ale mówiła napróżno, August jakby nie słyszał. Przychodziło mu na myśl co opowiadała matka; uczucie to, że trupa trzymał na rękach dreszczem strachu zabobonnego i wstrętu jakiegoś go przejęło.

Tak więc wszystko, los sam spikał się przeciwko niemu i w momencie tym, gdy miał być szczęśliwym, rozpocząć żywot błogi z kochającą go istotą, ręka zimna przeznaczenia stawała między nim a nią.

Z oczyma wlepionymi w błądź trupiej, zastygłą twarz żony, August stał, ruszyć się nie mogąc; stał jak przykuty, i oczy mu paliły łzy, które z nich wytrysnąć nie mogły.

Przekleństwo matki... fatalizm jakiś.. nieprześlądana przeznaczenie... Szczęście jak rozbite naczynie wątłe leżało u nóg jego. Pozostawała istota biedna, niewinna, którą litość kochać kazała, a od której strach odpychał.

Hölzelinowna nachylona nad królową śledziła znamiona, po których o trwaniu paroksyzmu nauczyła się wnioskować.

Tym razem musiał on być długim i długim snem po nim pokrząć się musiała królowa.

Ułożywszy ją na wezłowiach, okrywszy, piastunka ciągle stojącego w osłupieniu Augusta zlekka pociągnęła za suknię i poprowadziła z sobą ku drzwiom.

Uklękła przed nim ze złożonymi rękami.

— Miłościwy królu — poczęła głosem, który łkanie przerywało — miłościwy królu, panie! A! nie trwoż się. Zbytek szczęścia sprowadził omdlenie... królowa tak was kocha, a tak długo była nieszczęśliwą i wycierpiała tyle! A! niech jej to serca waszego nie odbiera...

I chwyciła kraj sukni króla, całując ją a oblewając łzami. Podniosła oczy. August stał posepny, blady, przybity.

— To nie było omdlenie — odezwał się, z ciężkością zdobywając na słowo — to nie było omdlenie! To była, to jest ta nieszczęsna choroba, którą mi grożono.

Załamał ręce. Hölzelinowna umilkła spuszczać głowę.

— Jutro — rzekła cicho — ona o niczem wiedzieć, nic pamiętać nie będzie! Przysięgam wam N. Panie, przez cały rok niemal nie było nigdy podobnego wypadku. Zbytek wzruszenia...

August powiódł ręką po oczach i czole.

— Taka jest dola moja i jej — odezwał się sam do siebie. — Gdziekolwiek sięgnie dłoń moja, wszystko się w proch rozsypie. Nie doniosę do ust nic, czegoby mi los nie zatruł. Serce ojca odjęła mi matka, serce matki odjęła mi żona, a żonę wyrывa mi ręka Boża!

Załamał ręce.

— Czem zawiniłem?

I nie odpowiadając ani patrząc na Hölzelinownę, August jakby senny, wszedł do izby swojej, dopadł zaledwie krzesła i rzucił się na nie, głowę kryjąc w dłoniach.

U łóża Elżbiety klęczała Kätchen i płakała we łzach się rozplywając. Patrzała na martwą twarzyczkę, na skostniałe, wyprężone ręce, na trupią postać dziecięcia.

Nierychło począł paroksyzm odchodzić, poruszyły się palce u rąk i usta zdały znowu składać do uśmiechu. Westchnienie się z nich wyrwało lekkie. Ale oczy się nie otwarły. Opanował znużoną i osłabłą sen głęboki, kamienny, który Hölzelinowna знаła dobrze. Miał on trwać do rana, a po nim następowało osłabienie straszne i długie.

O świcie już w obozie ruch się czuć dawał, lecz około starego dworu podkomorzy z rozkazu króla najgłębsze zalecił milczenie. August obojętnie zapowiedział, że sam się czuje trochę niezdrów i może spocząć tu będzie musiał.

Dowiedziawszy się o tem niespokojny nadbiegł podczaszy Radziwiłł. Wszystka tu Litwa, co otaczała króla, ludzie byli jeszcze starego kroju i obyczaju. Żaden z nich nie rozumiał ani choroby, ani znużenia. Padali na gołą ziemię dla spoczynku po kilkodniowych trudach, a wstawali z niej rzeźwi i zdrowi.

Chorzy szli do łaźni i pili stary miód.

Radziwiłł też królowi nic innego radzić nie umiał nad łaźnię.

— Nie potrzeba mi nic, oprócz spoczynku trochę — rzekł mu król, gdy go do izby wprowadzono. — Sądzę też, iż królowa spocznie trochę rada, bo wątpię jest i dosyć się umęczyła w Brześciu.

Niektóre poczty już przodem wyruszyły o świcie, potrzeba więc było śłać za niemi, aby się do tej zmiany zastosowały.

Dzień już był, ale przysłonięte okna nie wpuszczały go do sypialni, gdy królowa się obudziła i ujrzała przy łóżku swem siedzącą Hölzelinownę.

Z wejrzenia jej poznała piastunka, iż sobie przypomnieć nie mogła, ani gdzie była, ani co się z nią stało.

Z przestrawem oglądała się dokoła.

— Kätchen moja — szepnęła cicho — gdzie my jesteśmy? Co się stało ze mną? Śniłam? nieprawdaż? śniłam. A! to było rozkoszne marzenie.

On przyszedł do mnie, czułam go przy sobie, pochylił się ku mnie, wtem mroki nocy osłoniły mi wszystko... ciemność pożarła szczęście moje... zasnęłam kołysana jakby na morzu czarnem, cała w całunach. I spałam.

— Uspokójże się królowo moja — odparła Hölzelinowna. — Byłaś bardzo, bardzo znużoną podróżą. Cóż dziwnego! Sen przyszedł nagle.

— A on? — spytała niespokojnie królowa.

— On kazał, aby cicho było i żeby cię nie budzono — rzekła piastunka.

— Widział mnie?

— Śpiącą, zdaleka. Ja pilnowałam u drzwi.

— A! — odezwała się Elżbieta ręce łamiąc — ten sen nieszczęsny! zawsze ten sen, co jak kamień spada na mnie.

Łzy poczęły płynąć z jej oczów.

Szmer rozmowy posłyszeć musiał król z komnaty sąsiedniej, wszedł na palcach.

Uczuła go i trwożliwie osłoniła się okryciem. August zbliżał się powoli z widoczną na twarzy obawą, układając ją do uśmiechu.

Królowa się zarumieniła, spojrzała na Kätchen, która umyślnie nie ustępowała. Nie zważając na nią August, podszedł zwolna aż do łóżka i rzekł łagodnie.

— Potrzebujecie spoczynku, kazałem się tu zatrzymać. Używajcie, proszę, wczasu, bo podróż jeszcze długą i nużącą mamy przed sobą.

To mówiąc schylił się ku niej i zawahawszy nieco, w czoło ją pocałował.

Elżbieta podniosła się zarumieniona i szczęśliwa.

— Królu mój — zawołała — a! jak mi wstyd, jakim ja śpiochem jestem niegodziwym. Powinieneś mnie ukarać.

Ta wesołość, która trochę zdumiała Augusta, zdawała się go uspokajać. Usiadł na stojącym przy łożu krześle.

— Sądzę — odezwał się — iż najlepiej będzie, gdy cały dzień tu przestojemy, a wy, królowo moja, pozostaniecie w łóżku i wypoczniecie lepiej. Nikt wam nie zakłóci spokoju, a ja się nie oddalę.

Elżbieta schwyciła milcząco rękę króla i chciwie całować ją zaczęła, ale poczuł na niej lzy ciepłe i drgnął biedny król.

Zwrócił się do piastunki.

— Proszę was, czuwajcie nad królową — rzekł — a gdy dla was przyjdzie obiadu czas, każcie tu nakryć i mnie przywołać. Nie chcę, aby się królowa ubierała do ludzi, a do mnie nie potrzebuje.

Wyszedł.

— Hölzelinowo moja! — zawołała ręce drobne składając królowa. — Słyszałaś? nie jestże to anioł dobroci? nie jestże to ze wszystkich ludzi najlepszy człowiek, ze wszystkich mężów najlepszy małżonek, a ja najszczęśliwszą z istot na ziemi.

Hölzelinowna zbliżała się żywo, lecz nim zdołała ująć główkę królowej, padła na poduszki oblana białością trupią, zamknęły się oczy, otwarły usta, wyteżyły ręce. Elżbieta leżała nieprzytomna, a piastunka u łoża wiała się łamiąc ręce z rozpacz.

Długi, długi przeciąg czasu upłynął, młody król z żoną siedział na zamku w Wilnie. Ludzie, co na pożycie małżeństwa patrzyli zdala, cieszyli się szczęściem jego.

Gdy młodziuchna, dziewiczo wyglądająca, blada, wątła ale piękna jak biały kwiatek wykwitły w cieniu, królowa ze spuszczonej oczyma, w towarzystwie swej ochmistrzyni przechodziła do zamkowego kościoła, do kaplicy grobu św. Kazimierza, zwracały się ku niej wszystkich wejrzenia, odkrywały głowy i ciągnęła serca za sobą.

Nie pominęła żadnego ubogiego bez jałmużny, uśmiechnęła się najbiedniejszemu, dzieci biegły do niej ośmielone z wyciągniętymi rączkami.

Ci co bliżej dworu stali, co ją częściej widywali, nie mogli się dosyć nachwalić łagodności i dobroci.

Nazywali ją jedni Lilią białą, drudzy Aniołem i nie było człowieka, coby nie wielbił tej królowej.

Duchowni sławili pobożność jej, dwór łaskawość, młodzież unosiła się nad pięknością, poeci porównywali do Heleny greckiej i opiewali ją wierszem łacińskim.

Król zdawał się troskliwie czuwać około skarbu tego.

Ale ani na twarzy jego, ani na obliczu postarzałem piastunki, nie widać było tego wesela i błogiego uczucia szczęścia, jakiego ludzie się tu domyślali.

August chodził poważny nad wiek, zadumany, smutny, jakby mu życie i rządy, z których się wszyscy cieszyli, ciążyły.

Czasami nagle wśród tego spokojnego, jednostajnego trybu życia, zachmurzały się czoła, królowa się nie pokazywała. Nie widać jej było idącej do kościoła, ani na przechadzce w ogrodzie, który pod zamkiem nad rzeką król założył, i gdzie Elżbieta karmić była zwykła białe ląbędzie swoje.

Naówczas gdy się niespokojnie pytano Hölzelinowej o zdrowie pani, przeczyła żeby była chorą, mówiła że spoczywa znużona trochę.

I po jakimś czasie, ukazywała się znowu na drożynie wiodącej do kościoła z tym samym uśmiechem dziewiczym i pogodą na twarzyczce bladej.

Do Krakowa kto przybywał z Litwy, a pytał go stary król jak się tam syn rządzi, wszyscy mu odpowiadali wynosząc go pod niebiosa, a Bona usta zakąsywała ironicznie. A stary nasłuchawszy się pochwał, mruczał jak zwykle:

— Zostawcież też co do naganienia.

Gdy o młodej królowej mówiono, odwracała się Bona słuchać nie chcąc, zburzona, a choć z Wilna o zdrowiu jej przychodziły wieści uspokajające, ona zawsze wiedziała o jakiejś chorobie, i staremu mężowi nie przestawała wyrzucać, że synowi dał żonę, która mu życie zatruje i wstrętnem uczyni.

— Chorobę ma — powtarzała — z której ją nikt nie uleczy.

— Baśnie to są — zaprzeczał Zygmunt i milczeć nakazywał żonie.

Wtem naraz przysły do Krakowa zatrważające wieści, potwierdzały je i listy Dantyszka, wielkiego wielbiciela Elżbiety. Królowa ciężko, niebezpiecznie zapadła.

Skarżył się na to sam August, posłano po lekarzy do Krakowa.

To co dotąd tajemnicą było, stało się przez nich jawnem — królowa miała straszną tę chorobę którą *wielką* zwano, a na nią doktorowie lekarstwa nie znali żadnego.

Przez czas jakiś zwątpiono o życiu. August chodził pogrążony w smutku wielkim. Gdy już wszelka prawie nadzieja stracona została, Elżbieta cudem podniosła się z łoża i powróciła do życia.

A gdy do niej przyszedł mąż potem, chwyciwszy rękę jego, patrząc mu w oczy z miłością wielką, szepnęła mu:

— Wyprosiłam u Boga, aby mi jeszcze z wami, królu mój, pozostać pozwolił.

Stały Augustowi w oczach łzy, i wyszedłszy od żony gdy spotkał Strusia, który z Krakowa był sprowadzony, wziął go do swej komnaty.

— Proszę was — rzekł — uczynicie co jeno w ludzkiej mocy jest, abyśmy się żywotem i zdrowiem ukochanej małżonki cieszyć mogli.

Nie ma ofiary, którejbyśmy dla tego nie byli uczynić gotowi.

— Miłościwy panie — odparł lekarz, który pochlebiać ani kłamać nie umiał — co w ludzkiej mocy jest, nie na wiele się przyda. Myśmy z nauką naszą ślepi, a Bóg jeden wszechmocny.

Westchnął stary i zamilkł.

— Hipokrates, ojciec nasz — począł po chwili — całą księgę o chorobie tej napisał, a tyle z niej wiemy, żeśmy przeciw niej bezsilni.

— Mówią — odparł król — iż angielscy monarchowie moc mają od Boga przy namaszczeniu daną, leczenia chorób takich dotknięciem lub przesłaniem pierścienia, o który postarać się będziemy musieli.

Struś spuścił oczy.

— Wszystkiego próbować należy — rzekł chłodno — choćby i pierścienia. Mocy tajemniczej rzeczy nie znamy, ale jeżeli choroba dziedziczna jest, trudno ją zmódz.

August odparł.

— O chorobie w rodzinie nie słyszałem, a w Pradze, się nieprzyznają do tego. Astrologówby pytać potrzeba. Królowa dzięki staraniom waszym ma się znacznie lepiej, codziennie życie i siły wracają, mam otuchę, iż napady te nie powrócą.

— Miłościwy panie — rzekł Struś — jako kwiatu delikatnego strzedz potrzeba wątlej pani od wszelkiego powiewu gwałtowniejszego, czy on z południa, czy z północy przychodzi.

Zarówno wielka radość jak smutek wielki szkodliwe jej są, nad tem czuwać należy.

Zygmunt August wiedział o tem bardzo dobrze, czuwano nad królową, osłaniając ją zewsząd.

Lecz Bona też przez swoich lekarzy wiedziała to samo, a nienawidziła kobietę, która jej serce syna wydarła.

Z piekielnem wyrachowaniem Włoszka dobijała swą ofiarę. Truczyny, o którą ją pomawiano, dawać jej nie potrzebowała, dosyć było aby zręczna ręka podrzuciła paszkwil Elżbiecie, aby jej do uszu dopuszczono wieść, która nią wstrząsnąć mogła.

Ani król, ani Hölzelinowna zapobiedz nie mogli, by w ogrodzie na uliczce, w zamku na ścianie, nawet w książce pobożnej królowej, na kłamry złote zamkniętej, nie znalazł się świstek, po którego przeczytaniu Elżbieta bladła i padała jak nieżywa.

Po każdym takim paroksyzmie wstawiała słabsza, a sama obawa nowej napaści życie jej czyniła nieznośnym.

Nieprzyjaciółkę oddaloną, nieubłaganą czuła i widziała nieustannie, krok w krok idącą za sobą, stojącą w nocy u łoża, we dnie za siedzeniem.

Jej siepacze skryci, niewyśledzeni, tak umieli się osłonić, tak kłamali wierność, iż ich pochwycić nie było podobna. Sprawę tylko rąk tych niegodziwych każdy niemal dzień przynosił.

Mnóstwo papierów niszczyła Hölzelinowna, król nazaczył znaczną nagrodę na wykrycie sprawców tego katowskiego prześladowania — nie pomagało nic. Śladu odkryć nikt nie umiał.

Ostatnia, najcięższa słabość spowodowaną była paskwiluszem niemieckim, który Elżbieta w ławce swej zamczystej znalazła w kościele.

Podłe piśmidło urągało się jej i przepowiadało śmierć rychłą, obrachowane było aby dobiło. Wyniesiono Elżbietę zdrętwiałą z kościoła, długi czas była na skraju grobu i cudem potem powstała jeszcze.

Odżyła, jakby zapomniała co wycierpiała.

Wtem nadeszła wieść z Krakowa radośna, że posłowie króla rzymskiego przybyć tam mieli wioząc znaczną część posagu we złocie i srebrze. Wzywano Elżbietę i Augusta na odebranie i pokwitowanie. Zygmunt Stary zapraszał oboje do siebie, rad pragnął widzieć uzdrowioną synowę.

August przyszedł żonie odczytać listy. Zarumieniła się i pobladła. Stała zadumana i stroskana, i długo musiał czekać na odpowiedź.

— A! królu mój, panie mój — rzekła głosem drżącym — jam służebniczka twoja, jam na rozkazy gotowa w ogień i wodę, ale, czy ja tam potrzebna jestem w Krakowie?

Ojciec mi rad może być, ale drudzy? Widok mój gniew rozżarzy, podrażni. Jedźcie sami.

Zapłakała, otarła łzy i mówiła dalej:

— A! rozstać się z wami, królu mój, panie mój, tak mi ciężko będzie jak z życiem. Wolalabym u twego boku dotrwać do końca, a taka trwoga mnie ogarnia gdy z oczów stracę słońce moje.

Powiedźcie, trzebaż bym jechała do Krakowa?

— Poradźmy się lekarzy — odparł August. — Wolalabym was mieć z sobą, a wiem ile to kosztować będzie. A! i mnie też, królowo moja. Ani ja, ani wy nie wyrokujcie, niech dekret wydadzą doktorowie.

Spytano ich dnia tegoż, ale wszyscy zgodni byli aby królowa w Wilnie pozostała. Starcia z królową Boną w Krakowie były nieuchronne, a dla Elżbiety groźne.

Gdy ręce nieubłaganej nieprzyjaciółki sięgały aż tu nad Wilnę, jakże daleko silniej musiały się dać czuć tam, gdzie ona wszystkiem władała.

Królowa musiała więc pozostać.

Lecz gdy przyszła chwila pożegnania z mężem, rozplynęła się w łzy, straciła odwagę i Hölzelinowna ledwie potrafiła zapobiedz nowemu napadowi choroby.

August napróżno ją upewniał, że wróci rychło, że chwili nie zabawi nad konieczny czas do odebrania pieniędzy i pokwitowania.

Stosunki z matką były z powodu tych prześladowań Elżbiety tak naprężone, iż król młody postanowił zawczasu nie stać nawet na zamku, zamówić kazał dla siebie kamienicę w Rynku, a cały dwór jego, urzędnicy, komornicy dali sobie słowo ani znać, ani widzieć, ani mówić, ani jeść i pić razem z ludźmi Bony i Gamrata.

Przy pożegnaniu słów zabrakło, łzy je zastąpiły.

Dopiero gdy August na koń siadł, a królowa odjeżdżającego krzyżem z relikwiami żegnała, odezwała się do Hölzelinowej.

— Kätchen, coś mi mówi w serca głębi, jakby głos słyszę jakiś, ja go więcej nie zobaczę.

Nie dała jej mówić piastunka, używając tego środka co zwykle, gdy się obawiała bardzo, naówczas groźnie i surowo powstawała i Elżbietę zmuszała do milczenia.

Poczęła jej czynić wymówki, iż była Bogu niewdzięczną, który ją z choroby ciężkiej podźwignął do życia, że teraz miała się lepiej niż kiedykolwiek, a przywidzeniami sobie truć życie i zdrowie niszczyła.

Elżbieta zamilknąć musiała.

Z podróży listy od męża przychodziły często.

Jechał młody król niespokojny, wiedząc co go w Krakowie czekało, bo otwartą wojnę z matką prowadzić musiał, a usposobienie Bony odbijało się w królu Zygmuncie, we wszystkich co dwór składali, w całej niemal ludności tej, o którą się ocierać było potrzeba.

Nie było dla nikogo z dworzan Augusta tajemnicą położenie to i jego wymagania. Młody król umiał taką miłością ku sobie natchnąć tych co go otaczali, iż nie było jednego, któryby z zapalem nie gotował się do walki.

Owe paskwilusze podle przeciwko Augustowi, przeciw niewinnej królowej, rozpuszczane wieści, potwarcze plotki i zmyślane baśnie, do szału doprowadzały dwór, w którym domyślano się zdrajców.

Chodziło im o cześć wiernych sług. August też jechał z mocnym postanowieniem dać uczuć matce, iż jej prześladowanie przypisywał i że je brał do serca.

Jakby naumyślnie przygotowano się na przyjęcie uroczyste młodego króla w Krakowie. Dnie były ciepłe, stary król kazał się zanieść do kościoła, wyszła Bona z córkami, a choć Gamrat uciekł z Krakowa, znalazło się duchowieństwo na powitanie przyszłego pana.

Zygmunt August musiał się poddać temu ceremoniałowi i wobec świata okazać się jako syn uległy i miłujący rodziców.

Bona, w kościele nawet i wobec Boga, nie przybrała oblicza kłamanego — zasępiła, z zagryzionymi wargami, dumna przyjęła syna.

Dwa dwory stały naprzeciw tak groźnie, milcząco, jak gdyby wnet rzucić się miały na siebie.

Wedle rozporządzenia młodego pana, miał on zająć mieszkanie w Rynku, dom dla niego stał gotowy, ale Zygmunt ojciec nie pozwolił na to. Bona chciała go mieć na zamku.

August ojcu poddać się musiał. Tem straszniejsze było to zbliżenie się w obawie starcia jawnie nieprzyjaźnych dwóch dworów.

Zaraz pierwszego dnia u wspólnego marszałkowskiego stołu, gdy przezdrowie pić poczęto, wstawali jedni, drudzy wino wylewali.

Młody król jednak zaraz surowo zakazał, aby z jego otoczenia nikt pierwszy nie dał powodu do zajścia. Bona też i ludzie jej ostrożni byli. Obchodzono się wzajem milcząco, oczyma sobie urągając i wyzywając.

Sam na sam z matką August się nie zszedł ani razu, ona też nie wyzywała do tego. Król stary badał o synowę pilno, mówiono mu że się ma lepiej i że do nóg jego kłaniała się i pozdrawiała.

Nie chciał długo tu pozostać August i natychmiast liczenie, ważenie, a pisanie poręczeń i kwitów się poczęło. Lecz znalazły się formalności, papierów brak było, jakby naumyślnie zwlekało się ukończenie i wyjazd z powrotem na Litwę.

Król od Elżbiety w początku listy niemal co dni parę odbierał. Pisała ona, donosili urzędnicy o zdrowiu królowej i nie było żadnych zatrważających wieści.

Z szatańską zajadłością codzien Bona przy starym królu, łagodząc głos, zapytywała syna:

— Jak się ma królowa JMość? mieliście wiadomości?

W głosie jej było szyderstwo i jakby zapowiedź nieszczęścia, oczekiwanie jego.

August w końcu znużony, odpowiadał matce tylko mrużeniem niewyraźnym, a Zygmunt Stary podnosił oczy znużone ku Bonie, ale wymówek jej czynić nie śmiał, bo można było wyrzucić jej tę troskliwość o zdrowie synowej?

Pobył Zygmunta Augusta już się zbliżał ku końcowi, mówiono o wyjeździe, gdy nagle listy i posły z Wilna przybywać przestały. Nie uderzało to w początku, nie obudzało niepokoju, lecz po kilku dniach milczenia, młody król trwożyć się począł.

Matka zawsze prześladowała go pytaniem tem szyderskiem, na które teraz wiedziała dobrze, iż nie otrzyma odpowiedzi, bo ona również miała swe sługi na Litwie.

Zygmunt Stary niespokojnym się okazał i posyłać już chciał do Wilna.

Lecz około dwunastu dni naówczas potrzeba było, aby mieć odpowiedź, a listy co chwila były spodziewane.

Wśród dworu młodego króla niepokój coraz większy przerodził się w posądzenia Bony, że ona przejmowała listy.

Niektórzy wyrwali się jechać, aby przywieźć wiadomość.

August milczał usiłując zapanować nad niepokojem, jaki go ogarniał.

Dnia jednego gdy Bona, stojąc przy Zygmuncie, rzuciła znowu owo urągające pytanie synowi, August zamruczał zniecierpliwiony.

— W. K. Mość wiesz jak ja, że wiadomości z Litwy nie mamy.

— Nie było mi to wiadomem — odparła Bona zimno.

Późnym wieczorem August siedział w swych izbach w niewielkim kółku urzędników i starych znajomych, gdy w progu ukazał się, teraz unikający młodego pana, Opaliński i z miną tajemniczą oznajmił mu, iż królowa matka do siebie go prosiła.

W tem zaproszeniu było coś tak nadzwyczajnego, groźnego, niezrozumiałego, iż w pierwszej chwili August się zawahał czy ma być posłusznym.

Ale Bona w oczach ludzi była zawsze jego matką, należało jej poszanowanie.

Nie mówiąc nic, wstał i udał się za Opalińskim, który dość długo idąc przy królu, nie odezwał się ni słowa, a August, czując w nim nieprzyjaciela, w rozmowę wdawać się nie chciał.

W progu komnat starej królowej znikł Opaliński.

Bona nie siedziała, jak zwykle, na swem krześle, na kształt tronu wysłanem i podwyższonem. Stała z podniesioną głową, a twarz jej i wejrzenie takim dziwnym jaśniały blaskiem, że Augusta dreszcz przeszedł.

Brwi namarszczone starały się napróżno oblicze to posępne uczynić — usta ironiczny uśmiech wykrzywił. Tak śmiać się mógł tylko kat, patrząc na ofiarę swą w pętach u nóg leżącą.

August zbliżył się. Bona jakby dla przedłużenia chwili niepewności i trwogi, milczała; podobną była do zbira, który waży jak najgłębiej sztylet zatopić w piersiach skazanego.

W. K. Mość kazaliście mi się stawić — wyjąknął syn.

— Tak, chciałam osłodzić W. K. Mości boleśną wiadomość, która z ust matki, nie wyda się może tak srogą, bo usta te zawczasu ją przepowiadały.

Królowa Elżbieta, żona W. K. Mości nie żyje.

August stał jak wryty, bladość śmiertelna okryła twarz jego, wyrazów mu zabrakło w ustach.

Było to nowe okrucieństwo, osłonięte szyderstwem bezlitośnem.

Długiego czasu potrzebował młody król, nim potrafił odpowiedzieć.

— Srodze dotknęła mnie ręka Boża!

Bona zbliżyła się, chcąc z chwili korzystając zawiązać rozmowę i rachując na złamane serce syna, ale August nie chciał dopuścić, aby się napawała jego rozpaczą, a swoim zwycięstwem.

Skłonił głowę.

— W. K. Mość — rzekł — skróciłaś jej życie.

Poruszył się żywo i usłyszawszy tylko krzyk za sobą, nieprzytomny pobiegł do swoich.

Lecz już w kurytarzach otoczyli go dworzanie — goniec z Litwy nadjechał. Jeden z nich padł królowi do nóg płacząc i ściskając je zawołał.

— Królowa! królowa nasza...

— Módlmy się za jej duszę — odparł mężnie Zygmunt August — albo raczej prosimy, aby się ona do Boga za nami wstawiła. Męczennicą umarła!

Właśnie w czasie, gdy Zygmunt August był w Krakowie, na ulicach miasta zaczęto widywać człowieka milczącego, w odartej i wyszarzanej opończy, który, do nikogo nie mówiąc, przesuwał się powoli pod domostwy, zachodził do kościołów, stawał na Rynku, błąkał się jakby niewiedziąc co ma począć z sobą.

Niektórzy przypatrując mu się, znajome jakieś, dawniej widywane rysy sobie przypominali.

On nie znał i nie poznawał nikogo.

Raz jeden z dworzan królowej Bony, blisko się o niego otarłszy i zajrzawszy w oczy, pochwycił za rękę i zawołał.

— Dudycz! — ale nieznajomy wyrwał mu się i mówić z nim nie chciał.

Drudzy potem śledząc poznali w nim także zbiedzonego wielce i na pół obłąkanego Petrka. O nim i o żonie oddawna nikt nic nie słyszał.

Gdy dworzanie oznajmili o nim królowej, kazała go przyprowadzić na zamek do siebie.

— Co się z twoją żoną stało? — spytała Bona.

— Jam temu nie nie winien! — zamruczał Dudycz.

— Gdzież ona jest?

— Pewnie w piekle — odparł Dudycz.

— Nie żyje?

— Nosila zawsze sztylet u pasa, jam nic nie winien — rzekł Dudycz.

I więcej od niego trudno się dopytać było.

Sąsiedzi Petrka powiadali, że ją pochowano ze sztyletem w piersi i ręką na nim skostniałą. Życ nie chciała.

Drezno 1883-4.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dwie-krolowe-tom-iii/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Dwie Królowe*: powieść historyczna (Bona i Elżbieta), tom III, Spółka Wydaw. Księgarzy w Warszawie Gebethner i Wolff: M. Glücksberg [etc.], Kraków 1884.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0430-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).